

Grey Scale #13



DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



ANTONI ŻWAN
WSPOMNIENIA
Z RIVIERY
FRANCUSKIEJ

1877-1927



ANTONI ŻWAN

WSPOMNIENIA
Z RIVIERY
FRANCUSKIEJ

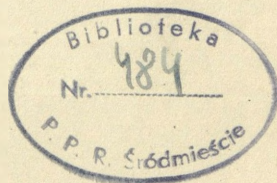
1877-1927

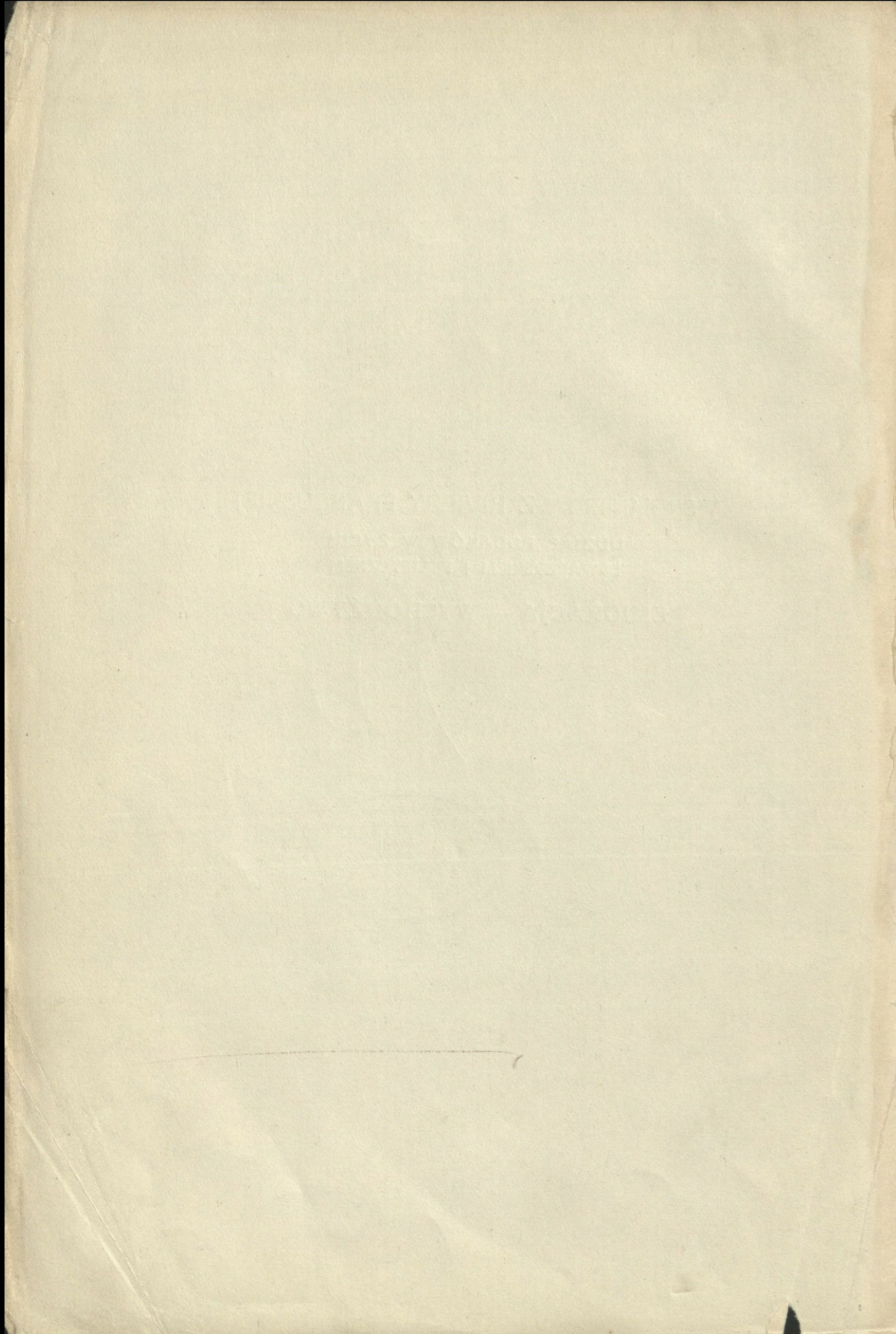
WSPOMNIENIA Z RIVIERY FRANCUSKIEJ

UDZIAŁ POLAKÓW W ŻYCIU
TOWARZYSKIM I POLITYCZNYM

EMIGRACJA — WYCHODŹTWO

1116





501.114.761.

38

ANTONI ŻWAN

WSPOMNIENIA Z RIVIERY FRANCUSKIEJ

UDZIAŁ POLAKÓW W ŻYCIU
TOWARZYSKIEM I POLITYCZNYM

EMIGRACJA — WYCHODŹTWO

1877—1927

WARSZAWA 1928.

325.2 (438/

325



ANTONI SWAN

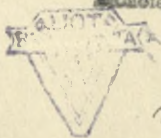
WSPOMNIENIA
Z RIVIEREY FRANCUSKIEJ

WYDAŁ POLAKÓW W ZYCH
TOWARZYSTWA I POLITYCZNE

EMIGRACJA - WYCHODZTWO



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej



39751/2

Druk. i Lit. p. f. „Jan Cotty”,
w Warszawie, Kapucyńska 7.

1956 D 395/21

DO ŁASKAWYCH CZYTELNIKÓW.

Wspomnienia z Rivieri francuskiej i udział Polaków w życiu towarzyskiem i politycznem nie są oparte na pamiętnikach, spisywanych chronologicznie od czasu mojej podróży z przed laty pięćdziesięciu.

Zdarzenia i wypadki z dalekiej przeszłości, których byłem świadkiem, podałem dokładnie do wiadomości.

Osoby, które miałem sposobność widywania i zaznaczyć znać, starałem się wiernie odrysować, zachowując cześć dla jednych a wdzięczną pamięć dla wielu.

Moje wspomnienia osobiste nie mają żadnej pretensji do szkiców historycznych, napisałem je w chęci zaznajomienia czytelników z najpopularniejszymi i najwybitniejszymi osobistościami w ciągu pół wieku, przeważnie z życia nicejskiego.

Polacy podczas niewoli wyjeżdżali licznie na Rivierę, jedni dla zdrowia, drudzy w celach turystycznych a młodzi często dla zabawy, ale wszyscy naogół

*z pragnieniem wyrwania się poza obręb rządów na-
jeźdźców. Nasza szlachta, mieszczaństwo i tysiące szu-
kających poza Oceanem pracy, opuszczając kraj, nie
rozstawali się nigdy z najdroższym talizmanem, który
wieźli w swych sercach w magicznej postaci Polski.*

*Będę szczęśliwym, jeżeli zdołam przekonać kochaną
naszą młodzież, której tę skromną pracę poświęcam,
o patriotycznym a nieraz wzorowym zachowaniu się na-
szych Rodaków w zeszłym stuleciu zagranicą i o róż-
nicy, jaka zachodzi pomiędzy politycznymi emigrantami,
a dzisiejszem polskiem wychodźstwem.*

ANTONI ŻWAN.

Warszawa, Grudzień 1927 r.

Polacy uchodzą za zagorzałych podróżników. W czasach, kiedy zwiedzanie obcych krajów połączone było z wielkimi trudnościami — możni kieszenią i wyżsi umysłem, szukali na Zachodzie — jedni wrażeń, a drudzy nauki.

Nasz „Złoty Wiek“ był w części owocem tego zamiłowania Polaków do łacińskiego klasycyzmu, to też Italia była głównym celem ich podróży. Epopea Napoleońska zmieniła te przyzwyczajenia. Nasi z owej epoki, złamani politycznie i rozproszeni po całym świecie, zaczęli chronić się pod skrzydła Wielkiego Cesarza z myślą odzyskania Ojczyzny i od tej pory Francja stała się magnesem, przyciągającym Polaków. Po ostatecznym upadku, zwłaszcza po stłumieniu powstania z 1831 r., nasza emigracja dążyła przeważnie do Francji. Polacy w kulturze zachodniej i w języku francuskim szukali ochrony przed nawałnicą, jaka ciągnęła ze Wschodu i groziła zalewem naszego, niegdyś wielkiego i wolnego Państwa.

Przez długie wieki naszej państwowości, Polacy znani byli w całej Europie z patriotyzmu, a żądza sławy wojennej pchała szlachtę polską do szabli i do konia, co nie przeszkadzało, że, w chwilach wolnych od obrony Ojczyzny, lubowali się w życiu towarzyskiem. Nasi

poeci czcili w młodzieży polskiej nietylko jej waleczność, ale i ferwor w zabawie. To też nic dziwnego, że po naszych powstaniach wszędzie zagranicą, gdzie się młodzież polska pojawiła, łatwo się drzwi przed nią otwierały.

Powstanie z 1863 r. wymierzone było specjalnie przeciwko Rosji, to też w tym czasie stosunki polsko-niemieckie uśmierzyły się nieco i temu przypisać należy, że po stłumieniu powstania — w czasach kiedy życie towarzyskie w Polsce zamarło — nasza trzecia z rzędu emigracja obrała za postój chwilowy Drezno. Do opuszczających masowo Ojczyznę przyłączyło się wiele obywatelskich domów, które pragnąc uniknąć wszelkiego kontaktu z Rosjanami, obrało stolicę byłych królów polskich za Rendez-Vous światowe.

W Dreźnie zaroilo się od Polaków. Trwało to blisko dziesięć lat.

Bezczelny kierunek antypolski z bismarkowskiej ery, który przeniósł się do Saksonji, wymiótł wszystkich Polaków z Drezna. Wówczas dużo bywalców drezdeńskich przeniosło się na Riwierę francuską, zwłaszcza do Nicei i od tej pory zaczyna się udział towarzyski Polaków na Riwierze francuskiej.

Jak wiadomo, od epoki napoleońskiej cała Francja stała otworem dla naszych emigrantów, ale dzisiejszy Eden, francuska Riviera była niedostępną nawet dla Francuzów.

Podróż końmi po skalistych drogach była wielce utrudnioną, a nawet morzem nie była wolną od piratów. Dzisiejsza stolica Riviery dopiero po połączeniu się z Francją, stała się stacją klimatyczną przystępną dla ogółu.

12 września 1860 r. Cesarz Napoleon, przybywszy po raz pierwszy do Nicei z Tulu, musiał wylądować w Villefranche, gdyż z powodu ciasnoty przystani fлотylla cesarska nie mogła wpłynąć do Nicei. Ze wspomnień i z opisów można śmiało twierdzić, że przyjazd monarchy wraz z Cesarzową Eugenją, wywarł wielki wpływ na losy tego miasta, któremu szczyci się dziś Francja, a podziwia świat cały.

Pięćdziesiąt lat temu spędziłem po raz pierwszy zimę w Nicei. Dla garstki żyjących bywalców z tej epoki na Littoralu będzie mój opis wspomnieniem, dla dzisiejszych polskich wojażerów słabym wizerunkiem przeszłości. Podróż do Nicei była długa. Z zaboru rosyjskiego jeżdżono na Wiedeń, skąd jechało się 40 godzin do Genui, tam o godzinie 12 w nocy zatrzymywał się pociąg i nazajutrz jechało się jeszcze przeszło 8 godzin do Nicei. W drodze zatrzymywano się po parę godzin na obiad i kolację, zaznajamiano się podczas table d'hôte, odwiedzano się w przedziałach, zwłaszcza Włosi byli miłymi ciceronami dla Polaków, zawozili towarzyszy podróży do kościoła św. Antoniego w Padwie, a w Weronie na grób Romea i Julji.

W czasie mojej pierwszej podróży 4 listopada 1877 r. na granicy włosko-francuskiej w Vintimigli po odbytej rewizji, zasiadłem przy table d'hôte do obiadu. Zwracała powszechną uwagę podróżnych osoba, której nadskakiwano i tytułowano Madame l'Ambassadrice. Łatwo zrozumieć moje zdziwienie, kiedy naraz usłyszałem jak ta Pani, zwracając się do synka i do towarzysza, odezwała się: „a teraz mówmy po polsku“.

Dowiedziałem się w Nicei, że tą osobą była Margrabina de Noailles 1-mo voto Świeykowska, żona Ambadora francuskiego w Rzymie, znanego ze

swych prac naukowych, wśród których były dzieła o Polsce.

Wjeżdżając do Nicei, miałem wrażenie przyjazdu do prowincjalnego miasta. Avenue de la Gare, obecnie Avenue de la Victoire, była zaledwie w połowie zabudowana, dopiero dojeżdżając do place Masséna, ujrzałem cudny widok i wspaniałą panoramę.

Stare miasto, tak zwane Vieux Nice, jeszcze nie było wyrugowane z codziennego życia przyjezdnych.

Katedra, poczta, teatr, banki, kilka pałaców arystokracji miejscowej, Hôtel des Etrangers, utrzymywały z cudzoziemcami kontakt, który, w miarę jak się formowało i powiększało miasto, dziś jest już tylko wspomnieniem.

Pół wieku temu ludność mówiła językiem „le niçois“ wprawdzie coś pośredniego między włoskim i francuskim ale nawet dla ludzi władających tymi dwoma językami, „le niçois“ był często niezrozumiałym. Wychodziło kilka małych dzienników w tem narzeczu.

Pamiętam w parę lat po mojej pierwszej bytności, zostałem zaproszony przez właściciela posiadłości w okolicach Nicei i kiedy tenże rozmawiał po nicejsku ze swymi małymi fermierami, zupełnie nie rozumiałem o czem dyskutowano.

Byłem świadkiem jak z roku na rok zacierała się ta odrębność szczepowa — ludność nie zmuszana a raczej faworyzowana i pociągana wzmagającym się dobrobytem, przyjmowała francuską kulturę i zarzucała piękne miejscowe stroje na korzyść mody francuskiej.

Jest to jeden z największych tryumfów Francji, że swoją wysoką kulturą potrafi pociągać liczne odrębności szczepowe i narodowe wewnątrz a zwiększa stale aureolę imienia francuskiego w obszernych kolonjach zamorskich.

Nicejczycy, pomimo zżycia się z Francuzami, zachowali do dziś dnia swój typ i swoje partykularyzmy — można to najlepiej zauważyć w letnich miesiącach.

Po wyjeździe cudzoziemców, następują dla wielu ferje — lud miejscowy urządza sobie tak zwane *les festins de cougourdons* na Cimiez. Rozbawione pary obchodzą całe miasto, a że Nicejczycy wogóle mają piękne głosy — serenady wieczorem są olśniewające. Młodzież trzyma się za ręce, tańcząc i śpiewając, obchodzi całe miasto i zatrzymuje się na placach publicznych. Gitary i mandoliny stanowią awangardę. Ukazują się dawne różnobarwne kostjумы, tłum intonuje hymn „*Lou roussignou que vola*“, a od czasu do czasu słyhać starą śpiewkę nicejską *La Vespa*. Dziennik „*L'Eclaireur*“ przyczynił się wielce do utrzymania tej pięknej tradycji nicejskiej.

Na Littoralu wre kampanja, ażeby stworzyć nowy sezon letni na całej Rivierze — w części już się to urzeczywistniło — powstały nawet miejscowości specjalnie na to urządzone, jak n. p. *Juan les Pins*, przepelnione latem przez zjeżdżających na kąpiele morskie.

Olimpjady, wyścigi konne, konkursy hipiczne, regaty i t. p. są wielce rozpowszechnione w Nicei, ale historyczne zabawy ludowe stanowią odrębny dział i są dotąd za mało popierane i zupełnie nie reklamowane.

Przed 50 laty mieszkał w Nicei poeta *Emile Negrin*, wprawdzie nie zasłynął w literaturze francuskiej, ale przez wspaniałe opisy ówczesnego nicejskiego życia zajął piękną kartę w piśmiennictwie francuskim.

Jego poetyczne fragmenty zwłaszcza „*Les promenades de Nice*“, które przed pół wiekiem robiły furorę z opisem zabaw ludowych — dziś zupełnie wyczerpane, należałoby wygrzebać i wydać na nowo. Miljony turystów, którzy zimą zjeżdżają na Rivierę, dowie-

dzieliby się, że i latem są rozrywki w Nicei, które wdziękiem i prostotą mogą zachwycić najwybredniejsze gusty.

Ośmielam się polecić mój projekt dwom nicejskim redakcjom: *Le Petit Niçois* i *L'Eclaireur* jako dawny czytelnik i przyjaciel tych pism.

Przyłączenie Nicei do Francji wyprzedziło zaledwie o kilka lat nasze ostatnie powstanie. Wielu historyków z owej epoki twierdzi, że polityka narodowośćowa Napoleona III i zwycięstwo pod Solferino, było powodem naszego powstania, które pomimo, że się tak nieszczęśliwie zakończyło, miało wielką doniosłość. Powstanie z r. 1863 przedarło klasowy rozdział i zjednoczyło w Polsce szlachtę z mieszczaństwem a naszą emigrację we Francji zlało w jedną patriotyczną całość.

W drugiej połowie zeszłego stulecia rząd rosyjski, nie zważając na swą politykę słowiańską na Bałkanach, ani na umizgi do Francji celem zdobycia pożyczek, poszedł na rękę rządowi niemieckiemu, przystał na rugi w Poznańskim i jeszcze zaostriżył kurs przeciwko Polakom w zaborze rosyjskim.

A że Austria w tym czasie uległa finansowemu krachowi, wielu Polaków zwłaszcza pracujących, uczuło się w swym bycie zagrożonymi. Ze wszystkich trzech zaborów zaczęli emigrować Polacy do Ameryki, a jadąc przez Marsylję, zatrzymywali się w Nicei i szukali nie-raz pomocy finansowej u swych rodaków na Rivierze francuskiej.

Kolonja polska urządzała w tym celu bale i koncerty, które się cieszyły wielkiem powodzeniem. Z tej okazji nie od rzeczy będzie wspomnieć o zdarzeniu, którego w parę tygodni po moim przyjeździe byłem naocznym świadkiem.

W sezonie zimowym w r. 1877/8 zjechał do Nicei były prezydent Stanów Zjednoczonych Grant ze swą małżonką — zamieszkał w Hotelu Chauvain. Polacy, którzy mieszkali w tym samym hotelu, urządzili przyjęcie na cześć Dostojnej pary.

Grant, wdzięcznie podkreślając napływ Polaków do Ameryki i zachęcając do dalszej emigracji, pamiętam, że dodał: „Znajdziecie u nas drugą Ojczyznę, co Wam nieraz zaprzeczają na waszej własnej ziemi“. Była to odpowiedź na mowę pewnego Polaka z Galicji, który się uskarżał przed Grantem, że rząd rosyjski oficjalnie nazywa Królestwo Polskie krajem nadwiślańskim.

Prezydent Grant wraz ze swą małżonką skorzystali z okazji i złożyli hojną ofiarę dla emigrantów polskich, dążących do Stanów Zjednoczonych.

Za Ich przykładem poszli przyjaciele kolonji polskiej amerykanie, francuzi i włosi, i na ręce prywatnego Komitetu w Nicei nadsyłało pieniądze i odzież.

Na Littoralu nie przebrzmiał jeszcze w latach 70 zeszłego stulecia współudział Polaków w akcji X. Don Bosco, który przed osiedleniem się w Turynie rozpoczął swą wielką akcję w Nicei.

Za włoskich czasów Delfina z Komarów Potocka zamieszkiwała Niceę — w jej willi na Carabacel spędzali zimę najwybitniejsi ludzie z owej epoki, a między nimi Paul Delaroche.

Hr. Delfina Potocka była jedną z głównych założycieli słynnej instytucji dobroczynnej „Le Bon Pasteur“. To wzorowo urządzone stowarzyszenie katolickie, istniejące dotąd w Nicei, dużo łąz otarło cierpiącym moralnie i materialnie.

Późniejsze generacje osiadłych w Nicei Polek poszły za przykładem Potockiej, pomagały tej szlachetnej in-



stytucji. To też wśród miejscowej ludności rosła aureola imienia polskiego.

Emigracja polska w Paryżu ma oddawna swą ustaloną historję. Bardzo wielu naszych emigrantów talentami i pracą odznaczyło się chwalebnie i złożyło w ten sposób swój dług wdzięczności za wspaniałomyślną gościnność.

Nowo osiadła kolonja polska w Nicei, odznaczająca się kulturalnością, dobrem wychowaniem, połączonemi z tradycyjną polską gościnnością, powoli zaczęła wysuwać się na jedno z czołowych miejsc w tym konglomeracie światowym. Zawiązanie przyjacielskich stosunków z cudzoziemcami, napozór czysto światowe, oddaje nieraz poważne usługi we współżyciu narodów.

W tym, celu o ile mnie pamięć o stosunkach z przed 50 lat nie zawiedzie, postaram się wymienić założycieli kolonji polskiej w stolicy Riwieri francuskiej.

Jedną z pierwszych rodzin polskich, które w latach 70 zeszłego stulecia osiedliły się na stałe w Nicei, był dom państwa Przeździeckich z Czarnego Ostrowia na Podolu. Hr. Karol Przeździecki był w swoim czasie deportowanym w głąb Rosji za podpisanie zbiorowej petycji do Cesarza Aleksandra II o dotrzymanie przyrzeczenia swego dziadka i przyłączenie tak zwanych zabranych prowincji (Litwy, Wołynia i Podola) do Królestwa Polskiego.

Po śmierci męża, pani Przeździecka znana w wielkim świecie francuskim pod imieniem Comtesse Lise, przez kilkadziesiąt lat prowadziła w willi Lyons salon, w którym zbierała się elita światowa. Słynna z urody i dowcipu, wraz ze swą siostrą Margrabiną Laurą de Noailles, należały do najbliższego otoczenia Cesarzowej Eugenji, z którą do końca życia utrzymywała serdeczne

stosunki. Na kilka dni przed śmiercią wśród telegramów od głów panujących do Czarnego Ostrowia nadszedł też telegram od byłej Cesarzowej Francji, dowiadujący się o zdrowie swej starej przyjaciółki.

Pisarze — poeci, jak niemniej arystokraci francuscy nawiedzali nietylko salony nicejskie Hr. Przeździeckiej, ale dążyli latem do Czarnego Ostrowia i na cześć Pani domu wpisywali aforyzmy i wiersze do sławnego „albumu Lizy“.

Wkrótce po powstaniu, jeden z wielkich właścicieli ziemskich na Litwie i Wołyniu, marszałek szlachty Orzeszko, przeniósł się z rodziną za granicę, wybudował willę Fortunée w Nicei i tam przez kilkadziesiąt lat zamieszkiwał. W domu państwa Orzeszków gromadziła się często kolonja polska i zaznajamiała ze światem napływowym i ze stale zamieszkującymi w Nicei.

W tym samym czasie Hrabia Bolesław Starzyński z Podola wybudował piękną willę na Promenade des Anglais. Jako snycerz, rzeźbiarz i wielki miłośnik sztuk pięknych, urządził dom pełen wytwornego smaku i wraz ze swą żoną przyjmował w willi „Starzyńska“ nietylko sfery beau-monde, ale i najwykwitniejszych artystów.

Tuż obok — Baron Lenval, znany ze swych hojnych dobroczynnych zapisów w Warszawie, nabył piękną willę Stirbey. Nie odmawiał nigdy pomocy osobistej i pieniężnej komitetom polskim na Rivierze. Na tejże Promenade des Anglais, matka znanego bogacza w Paryżu Hrabiego Mikołaja Potockiego, posiadała willę, do której wraz ze swym synem zjeżdżała na zimowe leże.

Na początku 70 lat zeszłego stulecia Hrabia Władysław Branicki zakupił jedną z największych posiadłości w Nicei tak zwane „Oliveto“, należącą przed wojną do Księcia Napoleona.



Małżonka Jego, wkrótce wdowa, córka emigranta Księcia Sapiehy, wychowana w Paryżu, jedna z wybitniejszych postaci wśród wielkiego świata francuskiego, stworzyła w Nicei salon, który do czasu wielkiej wojny był le point de mire wykwintnych sfer towarzyskich zjeżdżających na Rivierę.

Przez salony w Oliveto przewinęły się — koronowane głowy, książęta kościoła, krwi, jak niemniej wybrańcy literatury i najwybitniejsi dyplomaci z owej epoki. Jako dowód, że nasze panie przy zdarzonej okoliczności mogły czasami uchronić polskość od rusyfikacji, zacytuję znamienity epizod, jaki usłyszałem z ust Hr. Marji Branickiej, bawiąc w Białocerkwi w r. 1916. Było to za czasów pontyfikatu Papieża Leona XIII. Pani Branicka wyjechała z Nicei do Rzymu, celem spędzenia tam Świąt Wielkanocnych i doznała wyjątkowego zaszczytu, gdyż z polecenia Ojca Świętego była wezwaną na audjencję do Watykanu.

Działo się to w epoce, w której dużo pisano o możliwości ugody pomiędzy kościołem katolickim a prawosławnym. Ojciec Święty, zwracając się do pani Branickiej, łaskawie zaznaczył, że dowiedział się, że posiada obszerne włości w rusińskim kraju i że jest opiekunką kilku kościołów katolickich, wezwał Ją dla tego ażeby się dowiedzieć, czy dużo rusinów przybywa na nabożeństwa do tych kościołów. Leon XIII dodał, że do tronu papieskiego nadchodzą wciąż prośby od Rusinów o dopuszczanie śpiewów w języku dla nich zrozumiałym.

Pani Branicka szczegółowo objaśniła Papieża, iż rząd rosyjski surowo zabrania Rosjanom, uczęszczania do kościołów katolickich. Rusinów i Unitów nie uznają w Rosji, jako odrębności narodowych. Do kościołów,

o które zapytuje Ojciec Święty, uczęszczają wyłącznie Polacy, z których częśćka wskutek ciągłego obcowania z Rosjanami, traci z czasem dokładną znajomość języka polskiego, ale do śpiewów kościelnych używają zawsze ksiąg polskich, gdyż rosyjskie do nabożeństwa nie istnieją.

Na zapytanie Ojca Świętego, jakie by zrobiły wrażenie śpiewy rusińskie na Polaków, pani Branicka odpowiedziała, że mogłoby to spowodować schizmę wśród Polaków.

Zdziwienie Ojca Świętego jeszcze się zwiększyło, skoro pani Branicka dodała, że jest należycie w tych sprawach poinformowaną, że Synod rosyjski nie dopuści do ugody pomiędzy kościołami i nie zdecyduje się nigdy uznać Ojca Świętego, jako głowy obydwóch kościołów.

Na tem skończyła się audjencja.

Jak wiadomo, mimo usilnych prośb ambasadorów rosyjskich przy Watykanie, śpiewy w języku rosyjskim ani rusińskim w kościołach katolickich w Rosji, nie były nigdy przez Stolicę Apostolską dopuszczone.

Pod koniec zeszłego stulecia, jeszcze dwie rodziny polskie osiedliły się na stałe w Nicei, i dotąd tam zamieszkują. Hr. Stanisławostwo Platerowie nabyli wille Clermont, a państwo Michałostwo Rohozińscy, Manoir Leliwa.

Hr. Plater często zabiera głos w sprawach polskich w prasie nicejskiej, a p. Rohoziński bierze czynny udział w nicejskim życiu towarzyskim i społecznem. Obaj w tym roku przyczynili się do okazałego przyjęcia naszych parlamentarzystów, a następnie do uczczenia jeźdźców polskich, przybyłych na konkursy hipiczne do Nicei.

Nie tylko posiadacze własnych nieruchomości byli założycielami kolonii polskiej w Nicei.

Hr. Henryk Tyszkiewicz, kurator szkół polskich na Litwie, po 63 r. osiedlił się na stałe w Nicei. Jaxa Bykowski, nazywany Chevalier de la Mappe Monde, co rok jeździł do Ameryki, a na zimę ściagał do Nicei.

Powszechnie ceniony Dr. Tymowski przez długie lata był nie tylko lekarzem kolonji polskiej, ale i opiekunem w szpitalach naszych emigrantów do Ameryki, którzy po drodze zatrzymywali się w Nicei.

Księżę Władysław Czartoryski, który przed 50 laty był uważany we Francji za przedstawiciela myśli i dążeń polskich, zjeżdżał na zimę do Nicei wraz ze swą żoną Księżną Małgorzatą Orleańską, wnuczką króla Ludwika Filipa, co podnosiło towarzysko aureolę kolonji polskiej.

Nie mogąc wymienić kolejno wszystkich Polaków przybywających w 8 i 9 dziesiątku zeszłego stulecia, którzy corocznie zjeżdżali do Nicei i byli faktycznie założycielami kolonji polskiej, muszę zaznaczyć, że się zwykle skupiali, tworząc harmonijną całość. Sławny pieśniarz Nadaud, zamieszkujący Niceę, napisał na cześć naszej kolonji wspaniały poemat o jedności polskiej, przepowiadając, że ten wspólny moralnie front, przebije kiedyś mury obecnego więzienia Polaków!

Po odzyskaniu niepodległości salony polskie w Paryżu, Nicei, Florencji, w Rzymie, a nawet w Wiedniu i nieraz w Berlinie, które z punktu widzenia kulturalnego i towarzyskiego mają chlubną przeszłość, dziś straciły rację bytu, ale należy się im wdzięczność, że przy pomocy języka francuskiego nie dopuściły nigdy w swych podwojach do grasowania języków naszych najeźdźców.

Pisząc o Rivierze francuskiej nie mogę się ograniczyć do życia Polaków, tembardziej, że w owej epoce znajdowało się mnóstwo wybitnych Francuzów.

Na pierwszym miejscu wymienię twórcę Flory des Alpes Maritimes, Alfonsa Karra. Ten botanik - poeta w latach 60 zeszłego stulecia założył w quartier S-te Hélène ogród i zapewnił temu przedsięwzięciu powodzenie światowe. Riviera zawdzięcza mu rozrost i handel kwiatowy.

W swych cudnych poezjach sławił Niceę i gromił przeciwników Littoralu. Bywał często w domach polskich, gdzie znano jego wilczy apetyt i przygotowywano dubeltowe porcje. Wogóle był to typ jakich się mało spotyka; wielkiego wzrostu, ubrany w aksamitny *juste au corps*, w tyrolskim kapeluszu, zimą i latem w zarzuconym na szyję szaliku, a przytem wyjątkowej siły fizycznej. Pod koniec życia zdarzył się wypadek, że ktoś z młodych chciał mu podać rękę przy wsiadaniu do wagonu. Alfons Karr jedną ręką podniósł grzecznego jego mościa i usadowił w wagonie, a usiadłszy obok podziękował za dobre chęci.

W r. 1880 przeniósł się Alfons Karr do Saint Raphael; przedsiębiorstwo kwiatowe przejęte zostało przez potentatów finansowych i magnatów z X. Rivoli na czele.

Z wielkich francuskich pisarzy Guy de Maupassant mieszkał przez długi okres czasu ze swą matką w Nicei na rue de France w willi Les Ravenelles. Od młodych lat był niezwykle nerwowym i często ulegał halucynacjom, w eterze i środkach lekarskich szukał ukojenia, zmieniał miejsca rezydencji w Cannes, Antibes i w przejazdach morskich. Najbliżsi sądzili, że wielka praca genialnego pisarza była powodem tej ekscytacji, tymczasem nieuleczalna choroba go nurtowała, która przed śmiercią zakończyła się warjactwem.

Opinia fałszywie twierdziła, że był bezbożnikiem, sły-
szalem od jego osobistych przyjaciół w Nicei, między in-

nymi od Hr. Emerica Du Chastel, że Maupassant ulegał wpływom matki, która była zaciętrzewioną libre penseuse.

Guy de Maupassant przeczuwając bliski zgon, pragnął się otrząść z tego wpływu i wyznać akt wiary, ale otoczenie nie dopuściło.

Victorien Sardou mieszkał przez dłuższy czas w Nicei na Boulevard Victor Hugo, a następnie na Mont Boron w willi Graziella, gdzie miał zamiar osiedlić się na stałe i wybudować własną salę teatralną; zmienił on nagle projekt i sprzedał willę.

Sardou, jak wiadomo, miał trudne początki swej sławy, co dało się zauważyć w stosunkach do ludzi, był często kapryśnym, a jednocześnie, jak chciał, był le plus grand charmeur. Koledzy po piórze więcej się go bali, niż kochali. Sławne jego dąsy z Sarah Bernhardt kończyły się jeszcze większym afektem. Mylił się nieraz co do numeru swej łoży, ale jak wszedł do innej błagano ażeby w niej został.

Mimo trudnego charakteru, nieraz wielkiej szorstkości, w Nicei uważano go za pół bożka.

Poeta Nadaud, ulubieniec salonów nicejskich, był uosobieniem francuskiej, wykwiintnej, pełnej harmonji i tonu poezji, działał na umysły nie tylko rymami, ale i zdrową, moralną i patryjotyczną nutą.

Żałowany przez wszystkich umarł w r. 1893.

André Theuriet, poeta wielce usubtelniony, miał pasję do przyrody i nikt lepiej od niego rymami nie uwiecznił cudów morza Śródziemnego i piękności Riwieri.

Wyglądał surowo, nie dbał o ludzkie pochwały, a w gruncie rzeczy był skromnym i współczującym — nieraz w rozmowach wielce ubolewał nad stanem Polski, a głównie nad rozczłonkowaniem naszego narodu. Theuriet mieszkał przez kilka zim w Nicei.

Wielki pisarz i poeta François Coppée, jeden z najgłębszych myślicieli zeszłego stulecia, nawiedzał często Niceę, był otoczony ogólnem uwielbieniem, wzamian odznaczał się wytwornością w życiu towarzyskiem.

Znakomity astronom Camille Flammarion wraz ze swą czarującą małżonką zjeżdżał nieraz do Nicei, a po trzęsieniu ziemi odczyty jego o przyczynach tej katastrofy ściągały tłumy publiczności. Domy polskie wydawały przyjęcia na cześć państwa Flammarion'ów.

Nie byłoby kompletnem wyliczanie najwybitniejszych postaci z literatury i wiedzy francuskiej, gdybym nie dodał, że genialna artystka Rosa Bonheur przez długi czas miała swoje atelier w Nicei w willi Africaine.

Jak wiadomo, wielka malarka zajmowała się poważnie odtwarzaniem zwierząt, jej obraz *la famille de lions*, jest arcydziełem wiecznem.

Pasję do dzikich zwierząt posunęła do tego stopnia, że przeniósłszy się do willi Bornolo w Nicei, oprócz wspianego atelier, założyła w swym parku zwierzyniec, aby mieć pod ręką okazy, które pragnęła pędzlem uwiecznić.

Był to typ jakich się nie spotyka, ubrana po męsku w szerokich aksamitnych szarawarach, w bluzie, wyglądała na cyrkowego dozorcę dzikich zwierząt.

Latem, Rosa Bonheur przenosiła się do Fontainebleau, dokąd dążył cały Paryż, ażeby oglądać jej utwory. Była kapryśna, więc często najwybitniejszym turystom nie udało się wejść do jej atelier.

Skoro doszło do wiadomości publicznej, że jej arcydzieło „*Le cerf de Fontainebleau*“ ukończone, książę, następca tronu Saski przyjechał, ażeby je zobaczyć. Rosa Bonheur odmówiła prośbie, tłumacząc się krótko: *il n'a pas encore été vu par des yeux français*.

Nicea posiadała w latach 70 i 80 zeszłego stulecia oprócz plejady uczonych i artystów, szereg salonów arystokracji i burżuazji francuskiej, które nie tylko wytwornością, ale i kulturą rywalizowały z paryskimi i w których spotykało się elitę całej Europy.

Polskie towarzystwo utrzymywało z salonami francuskimi nie tylko kontakt światowy, ale wysuwało się w nich nieraz na czołowe miejsce.

Na dowód zacytuję zdarzenie.

Do Nicei zjechała młoda para z arystokracji austriackiej, zaprotegowana listownie przez sławną w wielkim świecie księżną Paulinę Metternich, to też wszystkie drzwi salonów nicejskich otworzyły się przed nimi.

Po pierwszym dla nich wydanym obiedzie młoda para zrobiła wielkie wymówki swoim rodzicom, którzy z nimi zjechali do Nicei. Młoda hrabina skarżyła się, że mimo, że płynnie mówi po francusku, nie mogła wziąć żadnego udziału w konwersacji, bo mówiono wyłącznie o historii, literaturze, stylach, a ona do tego nie była przygotowana.

Ojciec krótko odpowiedział, że każdy kraj ma inne zwyczaje. Młoda austriacka arystokratka, płacząc, dodała, że to nie tylko Francuzi, ale i Polacy wiedli prym w tych brillantes conversations.

Tę wiadomość podał mi hr. Mi... wuj młodej pary, a zarazem wielki wielbiciel salonów polskich w Nicei. To też dzisiejsza nasza młodzież, nie powinna bagatelizować zasług naszej starszej generacji, która, nie mając podtrzymania od swoich poselstw, osobistymi zaletami i gościnnością, a głównie starannem wychowaniem, dokładną znajomością języka francuskiego, zdobywała wszędzie za granicą miejsce należne wielkiemu narodowi.

Z powodu ogromnej liczby salonów francuskich w owej epoce w Nicei, nie mogę wszystkich wyliczać, a segregowanie uważam za niewłaściwe. Muszę jednak zaznaczyć, że wówczas ludzie umieli rozmawiać. Kultura bezustannie rywalizowała z dowcipem, nowinki i światowe ploteczki wystarczały na ranne spacer, ale za to wieczorem przy stole nie pominięto żadnego tematu, który był à l'ordre du jour.

We wspomnieniach z przed lat 50 o twarzyskim ruchu w Nicei, należy się miejsce specjalne kolonji włoskiej i stosunkom italo-polskim.

Kilkanaście domów włoskich osiadłych w Nicei, przez swe związki małżeńskie, były złączone z Polską.

Margrabina Cambiaso, córka emigranta Tańskiego, pełna dowcipu i wdzięku, miała duże powodzenie w wielkim świecie. Kilka rodzin włoskich wywodziło się od wymarłej, ale znakomitej polskiej rodziny Wojnów.

Baron Gautier z Turynu z żoną księżniczką Czwertyńską, znaną ze swego cudownego uzdrowienia. Do lat 17, jako kaleka chodziła o szczudłach. Podczas Mszy Świętej w Lourdes w czasie podniesienia porzuciła szczudła i ku zdumieniu pielgrzymów wyszła wyprostowana z kościoła. Baronowa Gautier do końca życia była opiekunką cierpiących w Nicei. Mąż jej stał się skrajnym patryotą polskim, ostentacyjnie bojkotował Rosjan, w salonach nicejskich. Baron Gautier głosił, że we Włoszech, gdyby obcy tak poniewierali miejscową ludność jak w Polsce, z każdego krzaku i z za każdego drzewa, padałby strzał, albo błysnął sztylet.

Te porównania robiły duże wrażenie, zwłaszcza

w salonach amerykańskich. Ale zato Rosjanie nazywali Barona „le fléau mondain“.

Kiedy Kraszewski opuścił więzienie w Magdeburgu, gdzie osadzono naszego wielkiego pisarza, podejrzewając go o szpiegostwo na korzyść Francji, zjechał na wypoczynek do Nicei i zamieszkał w Hotelu Royal.

Kolonja polska, składając hołd niewinnie więzionemu, urządziła jednocześnie manifestację, na cześć Królowej Włoskiej, która swem wstawieniem się do Cesarza Wilhelma, przyczyniła się do uwolnienia Kraszewskiego.

Protest kobiet włoskich przeciwko barbarzyńskiemu postępowaniu nauczycieli niemieckich względem dzieci polskich we Wrześni, miał wielkie powodzenie wśród kolonji włoskiej na Rivierze, słyszałem z ust poważnych, że ten projekt powstał w Nicei.

Ten wspaniały gest z podpisami kilkuset tysięcy włoszek, zwrócił uwagę całego Zachodu na bezprzykładne prześladowanie Polaków przez rząd pruski, a za pośrednictwem kolonji amerykańskiej w Nicei, poruszył opinię w Stanach Zjednoczonych.

W latach 70 zeszłego stulecia mieszkał w Nicei Włoch amerykański p. Conti, miał jeszcze drugie nazwisko po matce Hiszpance, ale dziś nie pamiętam. Poznałem go w r. 1878 u sąsiada mego mieszkania w Hotelu Chauvain, u pułkownika wojsk hiszpańskich Victora, wnuka marszałka wojsk hiszpańskich z czasów wojen napoleońskich.

W owych czasach dyskutowano jeszcze o przyłączeniu Nicei do Francji. Dla p. Contiego Cavour był bożyszczem, to też polubowny układ graniczny francusko-włoski i przez to zbratanie dwóch łacińskich narodów, uważał za dogmat polityczny.

Był to nawskroś typ propagandzisty. Lubo, że od-

dawna zamieszkiwał Amerykę, był skrajnym pionierem ruchu łacińskiego, co, jak twierdził, wiodło go do polonofilstwa, Conti był zdania, że jedynym narodem powołanym do tego ruchu, poza szczepami czysto łacińskimi są Polacy, których elita przez kilka wieków była na Wschodzie placówką i ekspozyturą łacińskości i którzy mimo wstrząsów religijnych nie ulegli protestantyzmowi, ani schizmie wschodniej. W jego mieszkaniu, na rue de France, leżały na stołach stare wydania polskie w języku łacińskim.

Jak wiadomo, była to era emigracyjna do Ameryki, nie tylko z Polski, ale i z Włoch, z Hiszpanji i z Portugalji; otóż myślą przewodnią p. Contiego było przyłączenie Polaków do Ligi łacińskiej w Ameryce.

W tej sprawie wydał dzieło w hiszpańskim, czy też portugalskim języku, którą wręczył nam kilku Polakom; długie ustępy o Polsce i o Polakach przetłumaczył specjalnie na język francuski i dołączał do swego dzieła.

Książka była przepelniona gromami na tak zwane Święte Przymierze, które nazywał „Wilczarnią“, trzymającą w swych szponach cały kontynent europejski. Nawoływał cały świat do walki z Caratem, pastwił się wprost nad Cesarzem Franciszkiem Józefem za rzeź Polaków w Galicji i za gnębienie Włochów i Słowian. Niemców Goethego wychwalał, ale Prusaków a zwłaszcza Bismarcka nienawidził na równi jak Moskali.

Książka lubo w języku nie bardzo poczytnym, była surowo zabronioną w 3 rozbiorowych Państwach. Przypominam sobie dokładnie, że konsul rosyjski w Nicei Paton, względnie przychylnie dla Polaków usposobiony, przestrzegał, ażeby nie przewozić tej broszury, gdyż można uleść surowej karze.

Nasza prasa galicyjska, mimo już ówczesnej swo-

body druku, przez wzgląd na osobę Cesarza Austriackiego, nie mogła wspomnieć o tej akcji.

Jeżeli po 50 latach, dziś jeszcze wspomnienie o tej książce robi na mnie wrażenie, muszę wyznać szczerze, że nietylko wzniosłe myśli i słowa autora o Polsce i o Polakach są tego powodem. Jako syn Napoleończyka, który walczył pod Somosiera, wylałem niejedną łzę, czytając bardzo ostre potępienie p. Contiego, piszącego pod pseudonimem „Le Justicier“ o udziale Polaków w wojnie przeciwko Hiszpanom.

Po wiekowem oddaleniu mimo całej czci, jaką otaczam pamięć naszych bohaterów z epopei Napoleońskiej czuję niemniej silnie ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności politycznych.

Trzeba historycznie przyznać, że jesteśmy dłużnikami względem Hiszpanów. Niejeden z naszych rannych w szpitalach madryckich, już wówczas błagał o przebaczenie, toteż czytając opisy braterskich przeprosin, Polakowi lżej się robi na sercu.

Uzupełniając stosunki włosko-polskie na Rivierze, muszę wspomnieć o Rendez-Vous włoskich i polskich weteranów, które się odbywały w niewielkiej kawiarni, blisko dworca kolejowego w Nicei. Schodzili się tam Garibaldzcy i nasi emigranci, przybywający na zimowe leże, pomiędzy innymi i częśćka tych, którzy przez kilkadziesiąt lat byli stałymi gośćmi w Café de la Régence na place de la Comédie française w Paryżu. Jedni i drudzy kochali Francję jak swą drugą Ojczyznę, ale prześcigali się w dąsach i psioczyli na III Republikę, za to że podtrzymuje Carat, z drugiej strony Garibaldzcy, że rząd włoski pakuje z przekłętymi Austriakami, chociaż gdyby przyszła okazja, daliby powtórnie swą krew za Francję.

Były to czasy, kiedy Włosi i Polacy marzyli o francuskiej „Revanche“; jedni dla całkowitego złączenia się, a drudzy dla zrzucenia jarzma najeźdźców. Czterdzieści lat ubiegło, zanim Opatrzność ziściła pragnienia wiarusów, lubo dalekich granicami, ale historją i martyrologją podobnych, a sercem bliskich.

Wspominając o tej kawiarni, gdzie przed 50 laty schodzili się nie tylko nos insurgés, ale i nasi ówcześni artyści i dziennikarze zamieszkali we Francji, jak to Bałłowicz, znakomity malarz przedwcześnie zgasły, dziennikarz paryski Nowina, sekretarz księcia Władysława Czartoryskiego Gadon i wielu innych, pragnę przypomnieć starej generacji jeszcze żyjącej, a młodszemu pokoleniom udowodnić, jak przy każdej sposobności weterani polscy bronili honoru naszej Ojczyzny.

Otóż odbyła się w tej kawiarni manifestacja, której przyczynę opowiem obszerniej.

Nie odbiegając od stosunków włosko-polskich cofnę się jednak do sytuacji politycznej po wojnie francusko-niemieckiej.

W owych czasach, naleciałości obce zaczęły brać górę w Europie nad rdzennymi obywatelami. Bourget świetnie napiętnował ten ruch w swoim „Cosmopolis“.

W Paryżu pojawił się człowiek o wielkim talencie i jeszcze większym dowcipie, który za jeden z tematów obrał wyszydzanie Włochów i Polaków; takim był Albert Wolff, wszechwładny krytyk w wielce wówczas wpływowym „Figarze“.

Niecny pamflecista był jednocześnie zapalonym graczem. Po jednej ze swych wycieczek do Monte Carlo, gdzie się zgrał, powróciwszy do Paryża, na zapytanie kolegów dla czego tak krótko bawił na Littoralu, odezwał się, że uciekł z Rivieri, bo się tam spotyka „trop

de sales Polonais de toutes les nations“. Plugawe bon mot obleciało Paryż.

Trzeba zdarzenia, że w tym samym czasie, odbył się w Paryżu wielki raut u pani Munkacy na cześć Liszta.

Na tem świetnem przyjęciu Albert Wolff podszedł do Cypryana Godebskiego i wyciągnął rękę. Wnuk bohatera z pod Raszyna, nasz wielki artysta rzeźbiarz, zmierzyszy od stóp do głów Wolffa odparł, że nie podaje ręki à des canailles pareilles.

Godebski mu jeszcze przylepił epitet, który kursował po Paryżu, że Wolff il n'a pas de patrie, il n'a pas de relegion, il n'a pas de sexe. Kto pamięta tę postać przypomni sobie, że ta ostatnia klasyfikacja miała wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Albert Wolff znał nieustraszonosć Polaków, czego Godebski dał kilkakrotnie dowody w sprawach honorowych, to też nie wyzwiał go na pojedynek, co przyćmiło wszechwładzę paryskiego krytyka.

Wkrótce po tym zdarzeniu, Godebski jadąc do Carrary, zatrzymał się w Nicei i zaszedł jak wszyscy artyści do tej włoskiej kawiarni. Garibaldeczycy i wogóle Włosi, których Wolff przezywał od kataryniarzy i macaroni, dowiedziawszy się o przygodzie Godebskiego, urządzili mu serenadę i skoro wszedł do kawiarni, wespół z naszymi weteranami zaśpiewali „Z ziemi włoskiej do Polski“.

Po 50 latach i po oswobodzeniu Polski, znalazł się we Francji, drugi typ w rodzaju Alberta Wolffa; tym razem nie obcoplemieniec z bruku paryskiego, ale potomek starej szlacheckiej bretońskiej rodziny, który podniósł krucjatę przeciwko Polakom i wogóle przeciwko polskości.

Książka pod tytułem Pologne - Pologne, jest od początku do końca stękiem najobrzydliwszych kalumnij.

Jeżeli ten haniebnny czyn uszedł autorowi bezkarnie, może jedynie zawdzięczać mundurowi francuskiemu, który od wieków jest w Polsce czczonym i kochanym. We Włoszech podczas wojny wyzwoleniczej znalazło się także kilku polityków przeciwników Polski, czysto z racji ich wrodzonego germanofilstwa, ale ruch narodowy, jaki dziś objął całą Italię, zmiotł te uprzedzenia przeciwko Polsce, torując drogę do tradycyjnej przyjaźni włosko - polskiej.

Pod względem obrony swej narodowości i patriotyzmu Włosi i Polacy mają wiele cech podobieństwa.

To też zamknę historję braterskiego współżycia na ziemi francuskiej, wspomnieniem o Garibaldi, który urodził się w Nicei, czem się do dziś dnia szczycą mieszkańcy tego starożytnego grodu, a który wśród naszych bohaterów zeszłego stulecia nosił nazwę „Niezwyciężonego“.

W kolonji polskiej snuła się przez długi czas legenda o jego pobytach na Rivierze i o przyjaźni z Bosakiem (Hauke).

Obydwaj zwykle chodzili w czerwonych koszulach, nawet na proszone śniadania. Szpiedzy rosyjscy tropili ślady tych wizyt.

Hr. Liza Przeździecka opowiadała mi, że jej mężowi grożono kontrybucją za to, że Garibaldi z Haukiem byli u niego na śniadaniu we Florencji.

W r. 1882 w miesiącu czerwcu, w dniu jego pogrzebu na Caprerze, Nicea zgotowała swemu synowi historyczną pogrzebową manifestację. Wielki pochód trwał cały dzień, poczem udał się na cmentarz, gdzie leżą popioły jego matki i dwóch żon.

Prasa nicejska powtórzyła słowa Coppée'go o Victorze Hugo: „Garibaldi est entré vivant dans l'immortalité“.

Dziewięć lat później Nicea wystawiła pomnik Garibaldiemu, dłuta znakomitego francuskiego rzeźbierza Deloyé. Dwustu deputowanych i dziennikarzy włoskich i francuskich zjechało na tę bratnią manifestację, miasto tonęło pod flagami dwóch sąsiednich narodów.

Francję reprezentował Prezes Ministrów Rouvier, a Włochy Generał Canzio, spokrewniony z rodziną Garibaldiiego. Nie brakło w tych uroczystościach i Polaków, którzy przez cały wiek szli śladami wielkiego bohatera włoskiego i walczyli o swą niepodległość, a na przyjaźni włosko-francuskiej opierali swe nadzieje polityczne.

Pisząc o osobistościach na Littoralu, związanych z kwestją polską i ze stosunkami włosko-francuskimi, nie mogę pominąć wybitnej postaci generała Türra, urodzonego w r. 1825 w Baja na Węgrzech. Brał on czynny udział w rewolucji węgierskiej, za co był skazany en effigie na rozstrzelanie. Przeniósł się następnie do Włoch i był szefem sztabu Garibaldiiego.

Ożeniony z Adeliną Bonaparte-Wyse, która w młodym wieku była jako Demoiselle d'Honneur na Dworze Cesarskim w Tuilleries.

Za staraniem rządu angielskiego, ułaskawiony przez Cesarza Franciszka Józefa, jeździł latem do Pesztu, gdzie nas Polaków podejmował serdecznie. Zimą spędzali państwo Türrowie corocznie w Nicei, gdzie obracali się dużo w kolonji polskiej.

Generał Türr miał postać średniowiecznego rycerza, wielkie wąsy i jeszcze większe brwi, wydawał się na pierwszy rzut oka sztywny, gdy w samej rzeczy był wielce dobroduszny, a względem płci pięknej uniżonym cavaliere servante.

Nietylko wojak, ale i zapalony polityk zabierał często głos w sprawach francuskich, włoskich i polskich.

Patryota węgierski lał krew, nie tylko za swoją Ojczyznę, ale i za Italię — kochał idealnie Francję, w czym go utwierdzała żona jako Bonapartówna, miał jeszcze wyjątkową miłość do Polaków, z którymi zbrażał się w różnych rewolucjach.

W czasie kiedy święcono we Włoszech 50-lecie zwycięstwa pod Solferino, generał Türr stanął na czele sekcji francusko-włoskiej na Wystawie medjolańskiej.

Trzeba było słyszeć starego generała, z jakim przejęciem opowiadał swoim przyjaciołom o tym obchodzie, o swej mowie, którą wygłosił podczas otwarcia Wystawy, wobec, jak się wyrażał, jednego z najszlachetniejszych Monarchów, obecnie panującego Króla Emmanuela II. Jako zapalony zwolennik przymierza francusko-włoskiego, nakreślił w tym sensie swą mowę, a widząc po twarzy Króla, że dzieli tę myśl, poszedł nawet dalej, jak było w złożonej przez niego programowej mowie. Po skończeniu, Król Emmanuel uściskał serdecznie dłoń starego generała włoskiego.

To też Türr w swych wieczorowych gawędach, przewidując nieuniknioną przyszłą wojnę europejską, dodawał: jestem przekonany, że w niej chasseurzy nie będą nigdy celować do moich kochanych Berseglierów.

Starzy wojacy nakształt wielkich poetów, mają nie raz rzetelniejsze wizje, co do przyszłości, niżli dyplomaci i politycy, którzy na podpisach opierają swe kombinacje polityczne.

Generał Türr zabierał kilkakrotnie głos w prasie francuskiej i włoskiej w sprawach polskich. Znamienny jego list otwarty do księcia Bülowa o Polsce, w którym pisał: „Rozdzieliliście ten kraj z powodu, że był dla Was za liberalnym, ale, na miłość Boską, nie zaprzeczajcie mu prawa — „de prier chanter et de jurer“, w ich własnym

języku. Generał Türr był jednym z tych polityków, którzy słusznie twierdzili i twierdzą, że nie może być mowy o polityce Zachodnich Państw, dopóki Francja i Włochy nie znajdą się w wspólnej orbicie i nie zawrą stałego przymierza.

Jeżeli główna i najpiękniejsza arterja w Nicei nosi dziś nazwę Promenade des Anglais, pochodzi to stąd, że jeszcze za włoskich czasów Anglicy obrali sobie tę ulicę nadbrzeżną na zimowe leże, nabywali tam posiadłości i budowali wille. Toteż podczas formowania się nowego miasta w r. 1822 nazwano dzisiejszą wspaniałą plażę le chemin des Anglais.

Nic też dziwnego, że od czasu napływu Polaków na stałe zamieszkanie do Nicei, zaczął się kontakt towarzyski z kolonją angielską, która, jako najstarsza, dziedziczyła pierwszeństwo.

Trudno mi wyliczać wszystkie wspaniałe rezydencje i wille angielskie w Nicei, ale wspomnę o tych kilku, które były mnie bliżej znane, a więc zacznę od willi Lorda Thomas Hay, w której siostrzenica ze swym mężem, państwem Balfour, znani byli Polakom nie tylko z ich gościnności, ale i z przyjaźni dla naszego narodu.

P. Spencer-Cooper, pasierb wielkiego Palmerstona, wraz ze swą małżonką nawiedzali często domy polskie i zapraszali do siebie.

W willi u Państwa Howard'ów młodzież polska prowadziła nieraz bale, a w wielu domach angielskich pod koniec wieczoru, mazur w kilka par, pod wodzą sędziego już p. Włodzimierza Grabowskiego (brata znanego hodowcy), wprowadzał w podziw zebranych gości.

Kapitan Rowley z żoną odznaczał się swą sympatją do Polaków; przypominam sobie oryginalność pewnego

menu obiadowego, kiedy po zakończeniu wieczerzy i nawet po deserach, wniesiono wspaniały rostbef przy aplauzie zebranych gości.

Kapitan Rowley objaśniał mnie, że to jest zwyczaj w ich rodzinie od niepamiętnych czasów, zdaje mi się szkocki.

Pani Francis Palmer, wdowa po admirale angielskim, w podeszłym wieku, ale pełna dowcipu i dystynkcji, zamieszkiwała stale w Hotelu Chauvain, ułatwiała Polakom dostęp do najwytworniejszych salonów angielskich.

Lady Caithness wraz ze swym synem Duc de Pomar początkowo na Promenade des Anglais, a następnie w Palais Tiranty, prowadzili w Nicei dom otwarty; świetne przyjęcia i bale kostjumowe, następowały jedne po drugich. Lady Caithness, spirytystka, miała kult dla Marji Stuart, jakby się wcielała w tę historyczną postać. W jej salonach gromadziła się, bywająca wówczas w świecie nicejskim cała kolonja polska, pociągnięta wyjątkową sympatją Pani domu, która nieraz mówiła, że Polacy, którzy nie mają swego konsulatu, mogą pałac Tiranty uważać za ambasadę polską.

Exre tych przyjęć przypominam sobie spryt jednego z naszych rodaków. Odbywał się świetny bal kostjumowy w Palais Tiranty, wygalonowani lokaje mieli nakaz nie wpuszczania nikogo bez kostjumu. Wtem zjawia się gość w zwyczajnym fraku, a tylko za uchem ma wielkie gęsie pióro, które pokazując służbie, twierdzi, że to jego kostjum i każe się anonsować jako poetę hiszpańskiego (nie przypominam sobie nazwiska poety); kiedy wszedł do salonu, powitany był burzą oklasków za dowcip. Był to znany nasz rodak w wielkim świecie hrabia Ignacy Gurowski, mąż Infantki hiszpańskiej, który

przyjechał na parę godzin przed balem do Nicei i zapragnął być na tej wspaniałej zabawie.

Wspomnę o sławnym i oryginalnym bogaczu i dziwaku o Gordonie Benett, który zamieszkiwał długi czas w Nicei, najczęściej na swoim wspaniałym jachcie. Zaprosiwszy raz liczne grono pań z najwykwintniejszych sfer towarzyskich na wycieczkę morską, zerwała się nagle wielka burza i z tego powodu powstał alarm wśród pań. Gordon Benett podchmielony, co mu się nieraz trafiało, zaczął grozić, że jeżeli się nie uspokoją, to wszystkim sprawi bezpłatną kąpiel.

Był to typ, jakie się rzadko spotyka, nie pozujący, ale prawdziwy oryginał, mówił ludziom prawdę np. starem kobietom, które udawały młode, że nie potrzebnie się mizdrzą i elegantują, bo tylko na balach maskowych mogą mieć powodzenie. Opowiadano mi, że Gordon Benett po kilkunastu kieliszkach kiedyś powiedział, że gdyby był Polakiem, to starał by się zaprosić na swój statek dużo Rosjan i Niemców i razem z nimi by się zatopił. Sprawę zatuszowano, ażeby nie wywoływać incydentu politycznego.

Gordon Benett bojąc się szantażów, nie łatwo otwierał swą kasę, chociaż słyszałem z pewnych ust o kilku wypadkach, w których wyratował rodziny od bankructwa.

Tacy oryginałi nie szkodzą ludzkości, a nieraz bez rozgłosu oddają cenne usługi społeczeństwu.

Pisząc o Anglikach, przypomnę pewien epizod z życia irlandzkiego. Tuż obok mych drzwi w Hotelu Chauvain, mieszkała rodzina irlandzka, złożona z 3 pokoleń. Często po table d'hôte zapraszali znajomych w Hotelu na herbatę. Wówczas babunia 80 letnia siadała do pianina i śpiewała pieśni narodowe irlandzkie, córka i zięć

trochę tylko rozumieli, a wnuczki wcale, ale przejęci wszyscy, klęcząc słuchali śpiewów w irlandzkim języku.

Na nas Polaków robiło to olbrzymie wrażenie.

Nietylko arystokracja, ale i wybitna burżuazja angielska w stosunkach towarzyskich, liczy się od pozycji, jaką cudzoziemcy zajmują na Dworze Królewskim.

W tym razie wielkim sukursem była sympatja przyszłego dziedzica tronu angielskiego względem Polaków.

Od młodzińczych lat księżę Walji miał sympatję do Polaków. Jego przyjazd do Warszawy dla odwiedzenia rodziny Potockich, podaje w swych pamiętnikach pani Muchanow-Kalergi, opisuje przerażenie namiestnika hr. Berga, skoro się dowiedział o pobycie w domu polskim następcy tronu w parę godzin po jego wyjeździe.

Należy również dodać, że za młodych lat, jednym z najbliższych w otoczeniu Księcia Walji był Polak Jaraczewski, toteż wszyscy Polacy, przedstawieni przez Jaraczewskiego, byli wyróżniani do końca życia przez tak zwanego Prince de Galles.

Rodzina królewska angielska, zaczynając od Królowej Wiktorji, obrała Rivierę francuską na pobyt zimowy. Księżę Walji, począwszy od lat 70 zeszłego stulecia zjeżdżał corocznie, dzieląc swój pobyt pomiędzy Cannes i Niceą, był codziennym gościem w Cercle de la Méditerranée i Cercle Nautique w Cannes, brał udział w obiadach czwartkowych i sobotnich angielskich, na których to ostatnich widziano nieraz i Polaków.

Adjutant i wielki faworyt Księcia dzielny kapitan Perceval, utrzymywał serdeczne stosunki z wieloma Polakami i nieraz nam opowiadał, że Księżę Walji interesuje się sprawą polską.

Drugi syn Królowej Wiktorji, Le Duc d'Albany, obrał również na zimowe leże Rivierę francuską i zain-

stalował się w Cannes. Niestety wkrótce uległ strasz-nemu wypadkowi; jadąc do Cercle Nautique wypadł tak nieszczęśliwie, że zabił się prawie na miejscu.

Wszystkie kolonie cudzoziemskie ze swemi emble-matami i mieszkańcy Rivieri, wzięły serdeczny udział w pogrzebie i w tym smutku rodziny królewskiej angielskiej w r. 1884.

Z okazji tej tragicznej śmierci opowiadano przez długi czas na Littoralu, że na parę dni przed wypadkiem le Duc d'Albany miał sen, w którym ukazała mu się siostra niedawno zmarła i wołała go do siebie.

Słyszałem tę wersję w Cercle Nautique, jakoby na parę godzin przed wypadkiem Le Duc d'Albany z wielkim wzruszeniem opowiadał o tym śnie wśród swego otoczenia.

Trzeci syn Królowej angielskiej, Księżę Edynburgski, późniejszy Księżę Koburg Gotha, nawiedzał często Niceę, gdzie w Cercle de la Mediterranée wyróżniał swych dawnych kompanów z lat młodzieńczych Polaków, wspominał Kuczkowskiego, z którym zawarł przyjaźń w Wiedniu. Słyszałem jak starsze panie polskie n. p. hr. Liza Przeździecka, mówiła mu po imieniu „Cher Alfred“, to też nic dziwnego, że chętnie obcował z kolonją polską.

Żona Księcia Koburgskiego (matka Królowej Rumuńskiej wdowy), zamieszkiwała zimą Villę Fabron w Nicei i zapraszała do siebie towarzystwo polskie.

Były nieraz i wybuchy wielkiej serdeczności angielskiego powodu prześladowania Polaków.

Pamiętam epizod podczas jednego z obiadów table d'hôte. Rosjanin p. Umnoff wszczął rozmowę i krytykował, że Polacy, nawet zamieszkujący rdzennie rosyjskie kraje jak n. p. Wilno, przyjeżdżając do Francji zapisują na listach hotelowych „Pologne“ i udają, że nie-

rozumieją jednego słowa po rosyjsku. Na to angielfka, bardzo poważna osoba p. Forget, dała mu ostrą replikę i zakończyła, że trzeba żyć i dać żyć innym, podnosząc kieliszek w stronę gdzie siedzieli Polacy, wzniosła: Vive la Pologne, co podchwycił cały stół. Liczna kolonja angielska zamieszkująca Hotel, podchodziła nawet do nieznajomych Polaków, żeby im wyrazić duchową łączność z panią Forget.

To też przy omawianiu stosunków towarzyskich Polaków z Anglikami, należy zaznaczyć dwa odrębne kierunki, jakie u nas panowały. Pierwszy z łacińskimi narodami, zadzierzgnięty jeszcze podczas naszej państwowości i uprzywilejowania na miejsce łaciny języka francuskiego, co stworzyło spójnię towarzyską i przez cały wiek XIX odbijało się w salonach polskich w Paryżu i w Nicei.

Katolicyzm ułatwiał małżeństwa polsko-włoskie i francusko-polskie, a pobyt naszych emigrantów zacieśnił jeszcze ten kontakt.

W przeciwieństwie do tego trzeba przypomnieć, że nasz ostatni polityczny i zbrojny czyn był z Napoleonem przeciwko Anglii. Jeżeli dodamy do tego, że stosunki społeczne i ekonomiczne na wyższą skalę rozpoczęły się dopiero od czasu zaprowadzania kolei żelaznych, co się zbiegło z naszym upadkiem politycznym, nie można się dziwić, że pomiędzy nami a Anglią prawie nie istniały żadne stosunki.

Tem też trzeba wytłomaczyć brak znajomości o Polsce, jaki się nieraz ujawnia w Londynie.

Ale mimo tylu przeszkód i przeciwności, jak Polska długa i szeroka, wśród naszej szlachty i całej inteligencji, które stanowią wyłączny materiał w stosunkach towarzyskich, panował zawsze pewnego rodzaju nimb

dla Wielkiej Brytanji, dla potęgi państwowej, a zwłaszcza dla dżentelmenerji angielskiej.

Tych uczuć i tych poglądów nawet wyzywający i szorstki stosunek do nas Lloyd George'a nie był w stanie zerwać.

Lubo w domach angielskich w Nicei Polacy nie czuli się tak swobodnie, jak we włoskich i w francuskich i zaczynało się zwykle od etykietalnych wizyt, nie przeszkadzało to jednak do zawierania nieraz szczerej i serdecznej przyjaźni na podobieństwo pani Forget.

To też kontakt na Rivierze francuskiej, pomiędzy dwoma oddalonymi od siebie narodami bez wahania nazwę „Primicjami“, w stosunkach polsko-angielskich.

Jako dalszy ciąg stosunków światowych angielsko-polskich w Nicei, było zetknięcie się Polaków w salonach hr. Emeryka Du Chastel, u państwa Balfourów i w Cercle Nautique z dziennikarzami londyńskimi specjalnie Times'u, którzy spędzali zimowe wakacje na Rivierze.

Od czasów wojny japońsko-rosyjskiej, prasa angielska zaczęła się interesować sprawą polską i stosunkami czesko-polskimi.

Na skutek starań i zabiegów polskich „Times“ zdecydował się wysłać do Warszawy swego reprezentanta. Wybór padł na p. Gordona Browna, który spędził przeszło rok w Warszawie i zamieszkiwał w Hotelu Bristol.

Zaznajomił się dokładnie ze sprawą polską, zdawał szczegółowe raporty, kilka razy przez ten czas jeździł do Londynu, w celu objaśnienia o ogólnej sytuacji.

Gordon Browne zachęcił i ułatwił Stanisławowi Skarżyńskiemu i mnie do pisanja i umieszczania artykułów w Times'ie.

Rząd rosyjski krzywo się na to patrzył. Stołypin na audjencji danej Skarżyńskiemu, podniósł tę rzecz.

W przystępie niby dobrego humoru, Premier zrobił aluzję, że w Rosji oddawna rząd jest przyzwyczajony, że Polacy zanoszą do Francji żale na Moskali, ale co do Anglii, to chyba jakiś nowy polski paroksyzm. Panieważ jednak Rosja szukała *coute que coute* zbliżenia z Anglią, więc nawet oburzające się wiecznie na propagandę polską, Nowoje Wremia połknęło tę pigułkę.

Gordon Browne opuściwszy Warszawę, wydelegowanym został na reprezentanta Times'u do Madrytu i tam w kwiecie wieku na kilka lat przed wojną umarł.

Nasi polityczni pisarze powinni wyszperać pamiętniki Gordona Browna, zwłaszcza z czasów jego pobytu w Polsce. Podczas walki o Chełmszczyznę, Gordon Browne wspominał, że Polacy ze starszej generacji opowiadali mu, że Anglia uratowała już raz tak zwaną Kongresówkę od amputacji.

Było to za czasów popowstaniowych, rząd rosyjski dążąc stale do zatarcia naszej odrębności, postanowił zmienić granice Królestwa Polskiego i wcielić gubernję Suwalską do Imperium. Rząd angielski dowiedziawszy się za pośrednictwem swego konsula w Warszawie o tym projekcie uprzedził, że granice Polski muszą być utrzymane stosownie do zobowiązań Kongresu Wiedeńskiego.

Ten epizod powinien być wyjaśnionym, nigdy nie zapóźno do wyrażenia wdzięczności narodom, które w jakikolwiek bądź sposób, podczas naszej niewoli, ochroniły Polskę od wschodniego zalewu.

Wyliczając w mojej książce tylu naszych przyjaciół Francuzów i Włochów, pragnę wpisać w ich poczet nazwisko Gordona Browna, oddanego naszej sprawie.

Z niedawno wydanego dzieła Steeda, dowiadujemy się, jak wielką rolę odegrał „Times“ w tej wojnie, która przyniosła nam niepodległość. To też naczelny redaktor

Lord Nortclif i jego najbliżsi pomocnicy powinni zająć odpowiednie miejsca w liczbie tych, którzy przyczynili się do uwolnienia ujarzmionych narodów w Europie.

Domem blisko stojącym do kolonji polskiej był salon belgijski hr. Emeryka Du Chastel, który się zainstalował w końcu 70 lat zeszłego stulecia w Nicei.

Jako wielki zwolennik ruchu literackiego, świetny muzyk, posiadacz znacznej fortuny, Jego dom stał się atrakcją dla wybitnych pisarzy i artystów różnych narodowości.

Hr. Du Chastel, korzystając ze swych rozległych stosunków światowych, przy współudziale swej siostry, pani Narzymskiej, pomagał nie jednemu z artystów polskich w karierze, a kilku naszym emigrantom ułatwił powrót do kraju.

Przedwczesna śmierć młodego Du Chastela odbiła się szczerym smutkiem w szerokich sferach towarzyskich w Nicei.

Poza domem zmarłego nie było w owej epoce wybitnych salonów belgijskich w Nicei, natomiast w Cannes zamieszkiwało kilka domów arystokratycznych belgijskich, wśród których Księżna Czartoryska, z domu Księżniczka Caraman-Chimay, Belgijka, trzymała prym.

W domu X. Marcelostwa Czartoryskich tak w Krakowie jak i w Cannes nie przebrzmiały echa przyjęć artystycznych matki pana domu, X. Marceliny, jednej z najznakomitszych uczenic Szopena i łączyły się ze wspomnieniem o braterstwie belgijsko-polskiem z r. 1830.

Należy podkreślić, że w drugiej połowie zeszłego stulecia, Panie, tak zwane „wysoko urodzone“, prześcięgały się nie tylko w elegancji form i w wykwintnej piśmowni listów, ale talentami w muzyce, śpiewie i dekla-

macji, stwarzały ze swych salonów ogniska artystyczne, polityczne i socjalne przodującego postępu.

W końcu zeszłego stulecia, Leopold II, król belgijski, nabył od mera Villefranche p. Pollonais, wielką posiadłość z piękną willą w Cap Ferrat i corocznie zjeżdżał, jak to sam mówił, „na wakacje“.

Podczas pobytu króla, powiększała się zwykle kolonja belgijska na Rivierze. W czasie jednej z takich wycieczek, cała prasa zachodnia wyjątkowo zainteresowała się kwestją polską.

Dzienniki podawały obszerne sprawozdania z sesyj w Petersburgu, pod prezydencją Cesarza Mikołaja II w kwestji chełmskiej.

Król Leopold, jako wielki polityk, zainteresował się tą sprawą, zaprosił do siebie jednego z Polaków, a następnie rosyjskiego arystokratę i temuż wyraził swoje zdziwienie, że Rosja po raz drugi zdobywa teren, który już przedtem zawojowała.

O tem zdarzeniu dowiedziałem się od osoby, stojącej blisko dworu belgijskiego.

W latach 70 zeszłego stulecia, jednocześnie z Polakami, zaczęła napływać do Nicei kolonja amerykańska, z początku przeważnie ze Stanów Zjednoczonych, a następnie i z południowej Ameryki.

Polacy mają wyjątkową sympatję i pociąg towarzyski do „Nowego Świata“, to też kontakt był łatwy. Bogate domy amerykańskie otworzyły salony w Nicei.

Pani Leech, ktorej córka wyszła za mąż, za Lorda Loftusa, urządzała wielkie przyjęcia, na których bywali Polacy. U pana Coxa, który mieszkał z córkami w willi Lyons i urządzał tygodniowie zabawy, wśród tańczących nie brakło nigdy Polaków.

U pani Thompson w Château des Baumettes odbywały się wspaniałe przyjęcia.

W hotelu Funel mieszkała pani Generałowa Kees, żona wielkiego bohatera z wojen amerykańskich; jej śliczna córka Geraldina wyszła za mąż za p. Pieńczykowskiego z Galicji.

Zwyczajem amerykańskim, zwykle panie stoją na czele ruchu towarzyskiego, to też przypomnę jeszcze p. Ayer, która przewyższała wszystkich wystawnością obiadów i podarunkami, jakie znajdował każdy z zaproszonych przy stole.

Mieszkała na Promenade des Anglais osoba w podeszłym już wieku, panna Rosalja Spang, niezrównanej gościnności; w jej salonach zbierała się nie tylko kolonja amerykańska, ale i cała Nicea.

Konsulaty amerykańskie na Rivierze były w ciągłych stosunkach towarzyskich z kolonją polską, która brała udział we wszystkich narodowych amerykańskich zebraniach.

W krótkim czasie kolonja amerykańska stała się osią życia i ruchu towarzyskiego w Nicei.

W miarę zacieśniania się stosunków politycznych pomiędzy Rosją a Francją, zwłaszcza po kongresie berlińskim, powiększała się kolonja rosyjska, która jeszcze za włoskich czasów posiadała wspaniałe rezydencje.

Stałych stosunków pomiędzy rosyjską a polską kolonją nie było, rok 63 nie był zapomniany. Spotykano się ustawicznie na przyjęciach i balach prywatnych, w Klubie Massena i w Cercle de la Méditerranée, stosunki były sztywne, ale trzeba przyznać, że ze strony rosyjskiej poprawne.

Wyjątek stanowił dom panny Baschkirtseff, w którym bywali nasi artyści, pisarze, dziennikarze i wogóle wszyscy z owej epoki, co z ruchem umysłowym mieli styczność i pragnęli poznać wielką malarzkę, poetkę i wizjonerkę.

Marja Beschirtseff mieszkała na Promenade des Anglais u swej ciotki pani Rozanoff, której salony nie mogły pomieścić licznych gości.

Theurieu wślawił we Francji młodą poetkę, wydając „Le journal de Marie Baschkirtseff“, który miał olbrzymie powodzenie, a jej korespondencja anonimowa z Guy de Maupassant, wydana po śmierci, zdobyła legendarną sławę. Młoda poetka zmarła w 23 roku życia,— jej grób przez całe dziesiątki lat stał się miejscem pielgrzymek elity, zjeżdżającej na Rivierę.

Przedwcześnie zmarłą rosyjską poetkę, która władała kilkunastoma językami, a w tem i polskim, można zaliczać do najwybitniejszych postaci, zamieszkujących stale Niceę.

Muszę dodać, że przebywał stale w Nicei jeden z najprzezorniejszych polityków i mężów stanu rosyjskich, Loris Melikoff, który pod koniec panowania Aleksandra II, pozyskał jego zaufanie i był nazywanym w Rosji wielkorządcą; doradzał on Cesarzowi nadanie państwu coś w rodzaju lokalnej, autonomicznej konstytucji, a za jedną z głównych podstaw, uregulowanie stosunków rosyjsko-polskich. Po zabójstwie cesarza Aleksandra II, syn tegoż Aleksander, wszedł za radą swego nauczyciela, Pobiedonoscewa, na drogę reakcji i centralizacji. Księżę Loris Melikoff opuścił Rosję i przeniósł się na stałe do Nicei.

Przyjmował u siebie szczupłe grono osób, wśród których było i kilku Polaków; czasami widywano go w salonach hr. Lizy Przeddzieckiej.

Loris Melikoff zwierzał się przyjaciółom, że nie będąc Rosjaninem łatwiej mu przychodzi oceniać bezstronnie duszę ludu rosyjskiego, która, zdaniem jego, lubo że jest na oko niewolniczą, w gruncie rzeczy nosi w sobie zarzewie buntu.

Przepowiadał on, że system reakcyjny może spowodzić w Rosji kataklizmy, które przewyższą grozą wszystko, co kiedykolwiek widział świat.

Dużo później, zjechał do Nicei książę Mirski, ataman, niezmiernie sympatyczny i rozumny człowiek. Pomimo, że go przerobili na Moskala, jak to sam opowiadał, gdy jako dziecko sierota, został zabrany gwałtem na dwór cesarski do Petersburga, tkwiła w nim jednak dusza polskiego szlachcica.

Książę Mirski dużo opowiadał o Loris Melikowie i o jego planach politycznych, o zgubnej działalności Tołstoja, który według niego, zamiast przez genialny talent podnieść naród rosyjski, pogrąża go w otchłań nihilizmu. Nie znał języka polskiego, ale nawet z Rosjanami używał stale języka francuskiego, którym władał znakomicie. Często w rozmowie dostrzedz było można tęsknotę za Ojczyzną dziadów i pradziadów, z której wyrwała go nieubłagana wola carów rosyjskich.

Książę Mirski umarł w Nicei, w sąsiednim obok mego pokoju, w hotelu Cercle de la Méditerranée.

Przyjechawszy przed 50 laty pierwszy raz na Littoral, pomimo, że w duszach francuskich jeszcze pokutował Sedan, słyszałem często język niemiecki, co nie przeszkadzało, że kolonja niemiecka w Nicei zupełnie nie istniała.

Niemcy północni zamieszkiwali przeważnie w neutralnem miejscu, t. j. w Monte Carlo, które dzięki temu napływowi rozrosło się — część zaś Niemców obrało

Ospedaletti, tuż nad granicą francuską, na miejsce pobytu, gdzie kilka hoteli było pobudowane, obsługiwane i zamieszkane wyłącznie przez Niemców.

Natomiast była w Nicei liczna napływowa kolonja austriacka, mówiąca po niemiecku, w postaci arystokratycznych domów austriackich i węgierskich, oraz finansjery wiedeńskiej, którzy w salonach, klubach i w hotelach, utrzymywali przyjacielskie stosunki z zasiedziałą kolonją polską.

Dla ścisłości muszę zaznaczyć, że w miarę polepszania się stosunków politycznych niemiecko-francuskich zaczęła się powoli formować kolonja niemiecka w Nicei.

Kilka wielkich domów osiedliło się na stałe. Księstwo Hohenlohe nabyli willę na Promenade des Anglais; przez Radziwiłłów byli spokrewnieni z arystokracją polską i bywali w naszej kolonji. Wielki magnat hr. Henckel Donnersmarck, rezydował przez długi czas w Nicei. W klubie de la Méditerranée widywano codziennie grupę Niemców: Braci Uhde, Jaffé, Magina i innych, którzy pierwsi poczynili starania, ażeby się zapoznać z Polakami, którzy w Nicei czuli się jak u siebie.

Trzeba przyznać, że spotykając się w salonach angielskich albo amerykańskich, Niemcy nieraz głośno wobec Polaków, krytykowali mowy Cesarza Wilhelma w rodzaju Tannenberskiej, a wywłaszczanie w Prusach, jednomyślnie potępiali.

Służba hotelowa niemiecka dominowała na całej Rivierze, chociaż często podawali się za Szwajcarów i Czechów.

Pamiętam w jednym z hotelów, w którym mieszkałem, dyrektor uchodził za Czecha, mówił nawet trochę po polsku. Przybyła rodzina czeska; dowiedziawszy się, że zarządzający hotelem jest ich ziomkiem, zaczęli kon-

wersację w języku czeskim. Dowiedzieliśmy się niebawem, że pan dyrektor Czech nie mówi ani słowa po czesku.

Skoro wybuchła wojna, dużo jednostek z niemieckiego hotelowego personelu okazało się szpiegami — kilku z nich nawet rozstrzelano.

Egzystowała jeszcze w Nicei liczna kolonja grecka, która odznaczała się wielkim patriotyzmem.

Pamiętam dokładnie, że podczas pierwszej wojny turecko-greckiej, stale zamieszkujący Niceę Grecy obliczali skrupulatnie swe mienie; niektórzy czwartą część a inni połowę swego majątku przesyłali do Aten na prowadzenie wojny. Tak uczynił mój osobisty przyjaciel, p. Salvago, znany podówczas kolonji polskiej. Z powodu choroby oczów nie był zdolny zaciągnąć się w szeregi obrońców Ojczyzny, ale natomiast z dnia na dzień zmieniał tryb życia; sprzedał konie i powozy, oddalił służbę, opuścił piękne mieszkanie i ograniczył się do koniecznych potrzeb, a resztę całego majątku odesłał na cel obrony narodowej!

W sezonie 1878/79 powiększył nicejski beau monde salon państwa Rodocanachich.

Pani domu, siostra znanych w Krakowie zapisdawców Barczewskich 1-mo voto Jurjewiczowa.

Rodzina Rodocanachi rozgałęziona wśród greckiej kolonji we Włoszech, zwłaszcza w Genui oraz Odesie, gdzie mieszkał p. Pericles Rodocanachi.

Córka z pierwszego małżeństwa wyszła wkrótce za mąż za sportsmena znanego w wielkim świecie paryskim Hr. Jana de Berteux, syn zaś p. Paweł Jurjewicz jest obecnie posłem polskim w Atenach.

Przez kilkadziesiąt lat w salonach państwa Rodocanachich w Nicei, odbywały się wystawne przyjęcia,

a podczas Wielkanocy, święcone, urządzone ze staropolskim ceremonjałem, wzbudzały podziw wśród cudzoziemców.

Rumunowie posiadali acz nieliczną, ale dawną kolonję w Nicei.

Księżę Stirbey za włoskich czasów posiadał jedną z najwspanialszych willi na Promenade des Anglais. Ten Gospodar na Wołoszczyźnie miał życie pełne przygód i walk wojennych; pozostało po nim w Nicei mnóstwo legend o jego bohaterskich czynach.

Jedną z piękniejszych willi w Nicei posiadali państwo Nicolas Xantho lubo z racji żony belgijki prowadzili dom pod flagą francusko-belgijską, a p. Xantho był wiernym swemu pochodzeniu i uważał się za Rumuna. Rodzina królewska rumuńska nawiedzała nieraz ich salony.

Miałem osobiście wielu przyjaciół wśród kolonji rumuńskiej, wspomnę X. Aleksandra Cautacuzena w Cannes o niezłomnym średniowiecznym charakterze, ale wielkiej kultury.

Minister wojny rumuński z owych czasów Lahovary, stały gość w Cercle de la Méditerranée, obcował ustawicznie z kolonją polską i zaznaczał swą przyjaźń dla niej.

Niedawno zmarły król Ferdynand za swych młodych lat, kiedy był domniemanym następcą tronu, spędzał zimy w Nicei. Widywaliśmy go codziennie w Cercle de la Méditerranée, a jaką zachował pamięć ze stosunków z Polakami miałem możność stwierdzić podczas pobytu I. K. M. w Warszawie.

Wobec tych dawnych stosunków rumuńsko-polskich, wobec zawartego przymierza pomiędzy naszymi narodami w jakim tonie mam zapytać Księżnę autorkę paszkwilu,

która śmiała napisać w swej książce, że cudzoziemka nie powinna wychodzić za mąż za Polaka?

A może to córka lub wnuczka poczciwego i zacnego ministra wojny Lahovarego, która pozwoliła sobie na tak głupi dowcip?

Polskie salony, które podczas naszej stuletniej niewoli miały wpływ w Paryżu, gdzie Księżna z Lahovarych Bibesco opublikowała swoje romansidło, potrafiłyby poskromić nietaktowną autorkę. Można mieć jednak nadzieję, że w Bukareszcie znajdą się osoby powołane, które poskromią wyrwasy rumuńskiej Księżnej.

Wprawdzie nie istniała na podobieństwo innych serbska kolonja w Nicei, ale nie mogę pominąć faktu, że przez długi okres czasu mieszkał z matką i z trojgiem dzieci książę Piotr Karageorgiewicz, pretendent do tronu serbskiego za panowania królów Milana i Aleksandra.

Miałem zaszczyt znać i widywać często księcia Piotra u wspólnych znajomych.

Książę Karageorgiewicz był wielce zrównoważonym politykiem, skromnym w obejściu z ludźmi, ale nieustraszonego patriotyzmu; bolał niezmiernie, że Milan gra rolę wasala Austrii i służy za narzędzie do germanizowania Słowian. Wychowany w szkole wojskowej w Saint Cyr poza swoją Ojczyzną, kochał Francję i mówił mi nieraz, że Polacy i Serbowie, oprócz podobieństwa języka, mają jeszcze wspólne uczucia pour la Douce France.

Przyszły król Serbji, mieszkając w Nicei, posiadał szczupły majątek i odpowiednio żył skromnie, natomiast brat jego, znany w Paryżu pod imieniem Kara, ożeniony z bogatą księżniczką Demidoff San Donato, wiódł życie rozrzutne, pomiędzy Monte Carlo a Baden Baden. Bracia mało się komunikowali.

Po objęciu tronu przez księcia Piotra, prasa mu nieprzychylna, opierając się na hulaszczym trybie życia brata, rzuciła się z obelżywą krytyką i wystąpiła, pomiędzy innym z zarzutem, że król Piotr jest wielkim graczem.

Księcia Piotra widywaliśmy od czasu do czasu w Cercle de la Méditerranée, ale nigdy nie brał kart do ręki.

Uważałem za właściwe za pośrednictwem prasy francuskiej odeprzeć te insynuacje.

Nieśmiertelny bohater narodowy z czasów wojny, marzył bezustannie o wielkiej Serbji, wierzył w powstanie niepodległej Polski i pragnął łączności pomiędzy Serbami i Polakami.

Zamieszkiwała jeszcze w Nicei jugosłowiańska rodzina Konstantynowiczów, których córka wyszła za mąż za księcia Mirkę Czarnogórskiego.

Kilku dzielnych i urodziwych młodzieńców, spokrewnionych z Karageorgiewiczami, dopełniało koło naszych przyjaciół serbskich w Nicei.

Wśród wiru światowego w Nicei spotykało się przedstawicieli wszystkich europejskich narodów. Muszę przypomnieć bywalcom na Rivierze z epoki z przed 50 laty starożytną szwajcarską rodzinę hr. Diesbachów, do której należała wielka posiadłość między rue de France a Promenade des Anglais, obecnie rozparcelowana. Odbywały się tam wspaniałe przyjęcia. Diesbachowie odznaczali się wielką sympatją do Polaków. Nasz obecny poseł w Zürichu, p. Modzelewski, ożeniony jest z hrabianką Diesbach.

W latach 80 zeszłego stulecia zjeżdżała corocznie grupa Holendrów; pamiętam, że zamieszkiwała Grand

Hotel i obok w Hotel de la Paix. Holendrzy odznaczali się wykwintnem wychowaniem i zwracali uwagę znajomością cudzoziemskich języków, spotykałem wielu z nich, którzy mówili po francusku jak Paryżanie.

Od czasu do czasu nawiedzali Rivierę Duńczycy, jako turyści, ale niektórym życie nicejskie tak się podobało, że zjawiali się w następnym roku, jako sezonowi goście i byli bardzo mile przyjmowani we wszystkich salonach na Rivierze francuskiej.

Widywano często Szwedów w salonach polskich w Rzymie i na Rivierze i sami dawali przyjęcia, które gościnnością, jeżeli nie przewyższały, to w każdym razie dorównywały polskiej. Wśród naszych szwedzkich przyjaciół, pamiętam pannę Teresę Kreüger, córkę i siostrę Admirała, która przyjeżdżała do Warszawy, celem odwiedzenia licznych swych polskich przyjaciół.

Wielki świat madrycki zjeżdżał często na karnawał do Nicei i chętnie przyjmował zaproszenia do domów polskich. Pamiętam, że w wigilję trzęsienia ziemi spotkałem w jednym z salonów polskich księżnę Medina Celi, która nazajutrz, powróciwszy przed samą katastrofą z balu do Hotelu Chauvain, gdzie mieszkała, miała zaledwie czas włożyć szubę sobolową i wziąć do ręki paczkę tysiącfrankówek. Pędząc piechotą na kolej, połowa pieniędzy wypadła jej z rąk; przechodnie w Avenue de la Gare znajdowali na trotuarze grube asygnaty.

Za włoskich czasów istniała duża kolonja portugalska w Nicei, która powoli się rozproszyła.

Pisząc pamiętnik nie mogę pominąć osobistości, znanej w całym wielkim świecie na Rivierze, a zwłaszcza wśród dyplomatów. Był nim Margrabia Sovéral, poseł portugalski w Londynie, osobisty przyjaciel i nieodstępny towarzysz Księcia Walji.

Ten stosunek dał mu wyjątkową światową, towarzyską pozycję; obdarzony przytem wybitnymi zdolnościami politycznymi, oddawał on nieraz wielkie usługi swojej Ojczyźnie. Po zmianie rządów w Portugalji usunął się z dyplomacji, zamieszkał na stałe w Anglii i tam niedawno zakończył życie, zostawiając po sobie żal, jako wielce uczynny w stosunkach towarzyskich.

Pomimo, że salon Lady Caithness zaliczyłem do angielskich, zważywszy na jej syna z pierwszego małżeństwa, Duc de Pommar'a, Portugalczyka, spotykano wszystkich wybitnych jego rodaków w Palais Tiranty.

Nietylko europejskie nacje składały się na konglomerat światowy na Rivierze; rasa żółta i czarna zaczęła brać udział w tym ruchu. Przed 50 laty pokazali się na Littoralu Japończycy i odrazu wzbudzili ogólne, sympatyczne zainteresowanie, które się stale powiększało.

Chińscy mandaryni i indyjscy książęta nie byli wyjątkami; widywano ich często w teatrach i na zabawach publicznych. Miałem wyjątkową sposobność zaznajomienia się z jednym z takich indyjskich bogaczy.

Był to człowiek wykształcony, władał kilkoma językami europejskimi, oddawał się studjowaniu wszechświatowej poezji. Mimo wielkiej fortuny i bardzo pięknej powierzchowności był zawsze zażenowany obcując z białymi, bał się przyjąć zaproszenia do domu prywatnego lub pójść do klubu, podejrzewając, że rasa biała niechętnie obcuje z mulatami. Miał cudne zęby, to też nie przestawał twierdzić, że tylko zawołowany i w rękawiczkach na balu maskowym, swoimi słoniowymi zębami może wywołać bezinteresowny zachwyt u płci pięknej.

Był bardzo hojny i kilka razy sypnął garść luidorów dla naszych wychodźców.

* *

Prasa, w całym tego słowa znaczeniu, pojawiła się w Nicei dopiero w 20 lat po przyłączeniu do Francji.

1 Sierpnia 1880 r. założony został dziennik pod skromnym tytułem „Le Petit Niçois“ przez p. Alsiary de Roquefort, wielkiego szermierza monarchicznego i z tego powodu dziennik nazywano reakcyjnym.

W kilka lat później wybitny działacz republikański, p. M. Borriglione, maire de Nice, skupił większą część akcji w swoich rękach, zmienił kierunek pisma, które dziś zalicza się do lewicowych. W tym roku przy wyborach „Le Petit Niçois“ odniósł tryumf, gdyż kandydat dziennika wybrany został na mera.

„Le Petit Niçois“ odnosi się życzliwie do przymierza polsko-francuskiego, jak i dawniej do kwestji polskiej, czego miałem dowód podczas odsłonięcia pomnika Gambetty i udziału Polaków w tej manifestacji. W tym roku, podczas konkursów hipicznych, ogłaszał radośnie o dzielności i brawurze naszych jeźdźców. Redakcja pisma ma wspaniałe pomieszczenie i bardzo wielu abonentów na całej Rivierze.

W tym samym czasie trzech ludzi wysokiej kultury i form towarzyskich, p. p. V. E. Gautier, Leon Pilate i Cornaldi, których spotykałem często w Cercle Masséna, założyli pismo o kierunku niezależnym. Z okazji tego zdarzenia pamiętam bankiet, wydany przez redaktorów, w którym brałem udział.

„L'Eclaireur“ od rozpoczęcia swej działalności poszedł w kierunku katolickim, a politycznie, w duchu łacińsko-słowiańskim, to też mimo propagowania idei przymierza francusko-rosyjskiego, nie odmawiał umieszczania wiadomości o Polsce i Polakach w trzech zaborach.

Obecnie na Avenue de la Victoire zwraca uwagę

przechodniów redakcja L'Eclaireur'a swoją wystawą telegramów z całego świata.

Długoletnim i wielce sympatycznym redaktorem jest do dziś dnia p. M. J. Garibaldi, a bardzo czynnym sekretarzem p. M. M. Ardoin. Redakcja posiada współpracownika Polaka, a hr. Stanisław Plater, nestor kolonji, zabiera nieraz głos w sprawach polskich.

„L'Eclaireur“, jako bardzo umiarkowane pismo ma dużo zwolenników wśród wszystkich kolonji cudzoziemskich na Littoralu.

Na zakończenie pomówię obszerniej o najstarszem wydawnictwie perjodycznem, o piśmie, które, zgodnie z nagłówkiem, jaki nosiło przed 50 laty „Le Monde Elégant“, zajmowało się przeważnie ruchem towarzyskim na całej Rivierze, ale dla kolonji polskiej miało jeszcze inne znaczenie.

W czasie zaćmienia politycznego dla sprawy polskiej w całej Europie, „Le Monde Elégant“, który pojawiał się dwa razy tygodniowo w bardzo starannej szacie, głosił, że Polacy są Polakami, nie zaś obywatelami rosyjskimi, pruskimi i austriackimi, karmił ostro za literę „ipsylon“, którą stale dołączały inne pisma do nazwisk polskich.

Jako dowód do jakiego stopnia redaktor pisma p. Fontanes de l'Isle interesował się Polską, muszę nadmienić, że przyjeżdżał dwa razy do Warszawy, aby się zaznajomić z ruchem literackim i dziennikarskim, umieszczał nadsyłane korespondencje z Warszawy i z Poznania, a w czasie jubileuszu Sienkiewicza żadne pismo na Zachodzie nie podawało tak drobiazgowego opisu tych uroczystości. Ale p. Fontanes de l'Isle nie tylko w swym żurnalu, ale i w salonach nicejskich, zwłaszcza w amerykańskich, propagował i sławił literaturę polską i naszych pisarzy.

Na konkurs ogłoszony w Paryżu na temat „O współczesnej kobiecie“, posypały się odpowiedzi zewsząd. Pani Daudet o francuskiej kobiecie; Carmen Silva (królowa Rumuńska) o Rumunce i tak kolejno zabierały głos najwybitniejsze talenty wśród kobiet. Do tej powodzi artykułów nadesłała z Wilna Orzeszkowa opis życia dwóch Polek, które pod jej piórem, przeszły urokiem najpiękniejsze portrety i stały się żywymi postaciami, wzbudzającymi współczucie elity światowej.

Z okazji tego konkursu, redakcja „Le Monde Elégant“ otworzyła specjalną rubrykę dla streszczania głosów najwybitniejszych kobiet z owej epoki.

Orzeszkowa, pisząc o współczesnej kobiecie polskiej, cytuje dwa wypadki. Obydwa dzieją się w Warszawie. Ranek grudniowy, zawieja śnieżna. Na placu Ś-go Aleksandra wchodzi o godzinie 8-ej do tramwaju kobieta z teczką w ręku i dąży na lekcje. Wtem nad jej głową zjawia się Anioł Opatrzności i pyta świat i ludzi, czy wiedzą, że tą niewiastą jest jedna z największych poetek (Marja Konopnicka), a zamiast być obsypaną kwieciami w pałacach, dąży już od rana do pracy dla zarobku. Anioł, litując się, dodaje, że wprowadzie pisze w pięknym języku, ale mało rozpowszechnionym, a na rodzinnej ziemi zabronionym przez najeźdźców. Przy tej sposobności autorka objaśnia o rugach i przesładowaniu języka polskiego w Prusach.

Orzeszkowa dodała jeszcze drugi żywy obraz Polki. Wdowa po wydalonym urzędniku przez rząd rosyjski po powstaniu 63 r. wychowuje syna. Nocami igłą i szydełkiem dopomaga sobie w tym ciężkim zadaniu.

Przechodzą lata, syn jest prymusem w każdej klasie i ze złotą nagrodą kończy szkoły. Nareszcie nastaje dzień

wyzwolenia dla matki. Syn otrzymuje dyplom na inżyniera pędzi do pracy i za pracą.

I tu rozpoczyna się tragedia. Cięży na nim grzech pierworodny, urodził się Polakiem, to też wszystkie służbowe działy są przed nim zamknięte. Przyjaciele i opiekunowie radzą mu wyjazd do Rosji, gdzie łatwiej znajdzie posadę. W tem miejscu Orzeszkowa dała upust swojemu talentowi. Jej bolejąca matka, ale przede wszystkim niewzruszona Polka i katoliczka z synem na Wschód nie jedzie, zadowolnić musi się tem, że corocznie, podczas krótkiego urlopu, wita swego syna dążącego z Syberyjskich fabryk do stóp ukochanej rodzicielki. Tylko wielkie pióro naszej poetki, było zdolne zobrazować ból matki przez 350 dni corocznie wyciekającej na powrót syna na przeciąg dwóch tygodni.

Nic dziwnego, że cały areopag konkursowy, do obrazu dwóch Polek-Rzymianek dołączył autorkę tragedji narodowej i przyznał Orzeszkowej nagrodę.

Na potwierdzenie skarg Orzeszkowej rzuconych przed forum paryskiej elity, pomiędzy wielu innymi listami nadeszły z tej okazji na ręce p. Fontanes de l'Isle dwa artykuły od znanych Polek. Pierwszy, lubo podcyfrowany X. X., ale wiadomym od pani Niegolewskiej z Poznania, pod tytułem „Kajdany pruskie w Wielkopolsce“, — drugi od Hajoty z Warszawy. Poetka streściła wezwanie Konopnickiej, które wstrząsnęło duszą Wielkopolan, ażeby nie sprzedawali obcym ojczystej ziemi: „Weź Niemcze talary, kto ziemię sprzedaje, ten nie naszej wiary“; w przekładzie na francuskie rymy zrobiło furorę na czytelników.

Za pośrednictwem p. Fontanes de l'Isle te dwa głosy polskie obleciały nicejskie salony.

Francuska prasa nie zapomniała o naszej znakomi-

tej powieściopisarce; w nekrologach po śmierci Orzeszkowej p. Pierre Rocheverre mieni ją „l'âme de la Pologne martyre“. Powracając do p. Fontanes de l'Isle dodam, że nie tylko umieścił w swem piśmie pracę Orzeszkowej o kobiecie polskiej, ale przetłumaczył cały artykuł na język angielski i rozdawał odbitki.

Pamiętam jak uroczę Amerykanki dziękowały p. Fontanes „pour la défense d'une belle cause“. Za tę piękną błyskawicę wśród ciemnych chmur, jakie przez długie czasy zawisły nad sprawą polską, składam na tem miejscu podziękę Francuzowi, przyjacielowi Polski, którą podzieli ze mną nie jeden z czytelników.

Pisząc o prasie nicejskiej nie mogą pominąć pobytu stałego gościa w zimowych miesiącach, tytana prasy francuskiej, Villemessant'a. Jeszcze za II Cesarstwa przyczynił się wielce do rozkwitu i rozrostu Nicei, namawiając swych licznych czytelników do nawiedzania, jak się wyrażał, tego rajy ziemskiego.

Fundator i założyciel Figara, dzięki jemu stało się wielce wpływowym organem wewnątrz a najwięcej rozpowszechnionym dziennikiem francuskim zagranicą i grało przez długi czas wielką polityczną rolę.

Przed Sedanem, podtrzymywał polonofilską politykę Napoleona III, po sromotnej klęsce krytykował surowo Polaków za ich udział w komunie paryskiej i nazywał nas niepoprawnymi romantykami, bojkotującymi wiecznie Rosjan, przepowiadając, że tylko Moskale w przyszłości będą w stanie wstrzymać pochód germański na ziemi polskie.

Villemessant jako dziennikarz, a zwłaszcza jako redaktor, był genialny, dużo ubiegło czasu zanim ktokolwiek mu dorównał, lubo w przeciwieństwie do elity

francuskiej, która gardzi i brzydzi się auto-reklamą, był w najwyższym stopniu reklamistą.

Nieprzystępny dla zwykłych śmiertelników, nigdy nie przyznał się do winy względem przeciwnika, tajał jednak nieraz w salonach (czasami w polskich) i wówczas był niezmiernie pociągającym, pełnym dowcipu i uroku słowa.

Villemessant zamieszkiwał z początku w Nicei na Promenade des Anglais 85, następnie zakupił w Monte Carlo willę Beaumarchais i tam umarł w miesiącu kwietniu 1879 roku.

Wraz z plejadą wybitnych dziennikarzy przyjeżdżał nieraz na wakacje noworoczne na Riwierę, znany profesor Louis Leger, następca Mickiewicza na katedrze języków słowiańskich w Paryżu.

Za młodych swych lat utrzymywał serdeczne stosunki z emigracją polską, później, stawszy się do przesady zwolennikiem przymierza z Rosją, pokłócił się z paryską kolonią polską, która go bojkotowała za adorację caratu. Léger, jako zapalony Sławista, zerwawszy z Polakami, rewanżując to, stał się jednym z głównych głosicieli wspaniałego czeskiego Odrodzenia. Corocznie jeździł latem do Pragi i zachęcał rodaków, ażeby poszli jego śladami, a że był bardzo zarozumiały, przypisywał sobie odkrycie Czech.

Zyskawszy wielkie uznanie wśród uczonych rosyjskich, zaproszony na kongres słowiański do Moskwy, obwołany został jednomyślnie prezesem kongresu. Jako przewodniczący, dał ujście swojej wiedzy w historii Słowiańszczyzny. Palnął mowę, w której dowiódł, że wśród Wielkorusów jest duża część Tatarów, Mongołów i Finnów, a pomimo tego dla dobra państwa i siły

przymierza francusko - rosyjskiego, wzywał wszystkich obywateli do skupienia się przy sztandarze słowiańskim i podkreślił, że Polacy są też wielkim narodem słowiańskim. Niektóre dzienniki rosyjskie przełknęły tezę wielkiego sławisty, reszta wystąpiła z surową krytyką.

Wkrótce potem, spotkawszy się w Pradze z Polakami, dowiedział się, że Królestwo Polskie jest rządzone przeważnie przez Niemców. Léger za pośrednictwem konsulatu francuskiego w Warszawie, zebrał całą listę, zaczawszy od zgermanizowanego Skałona, gubernatora Korfa, wszystkich funkcjonariuszy z niemieckimi nazwiskami i całą tę litanję ogłosił w prasie francuskiej.

Rosyjskie lewicowe pisma powtórzyły za francuską prasą rewelacje Légera. Dziennik „Ruś” z tej okazji napisał artykuł pod tytułem: „Rosja bez wystrzału zawojowana na drodze pokojowej”. Jedni Rosjanie chwalili odwagę starego sławisty francuskiego, a inni nazwali go renegatem, działającym na korzyść Polaków.

Wszystko to razem wzięwszy jest dowodem, że Louis Léger w gruncie rzeczy nie był za nikim i miał na względzie tylko sprawę ojczystą. Dopóki myślał, że aljans z Rosją zapewni pokój Francji, był szermierzem tego układu politycznego. Przekonawszy się o słabości wewnętrznej Rosji, a przeczuwając zbliżającą się wojnę, pragnął nietylko Czechów i wszystkich Słowian, ale i opornych Polaków wciągnąć do ogólnego przymierza przeciwko Niemcom.

Trzeba dodać, że Léger był wyjątkowym znawcą wszystkich języków słowiańskich, swoją wiedzę w tym kierunku posuwał nieraz do przesady. Wyrzucał nieraz Polakom, że niedokładnie wymawiają końcówkę ę

i że w liczbie mnogiej słychać *y*, zamiast *i*, np.: interesamy, zamiast interesami. Mnie w Pradze strofował za adres, dowodząc, że ulica Świętokrzyska powinna się nazywać ulicą Świętego Krzyża.

To też nieodmawiając staremu profesorowi erudycji i wysokiego wykształcenia, można śmiało dodać, że Louis Léger był uczonym mantyką.

Wśród dziennikarzy zwracał szczególną uwagę jeden z najwpływowszych publicystów z owej epoki, M-r de Blowitz. Kim on był? Wystarczy powtórzyć wiadomość, podaną przez p. Leona Sarty. Na jednym z przyjęć na Rivierze na cześć Królowej Rumuńskiej, znajdował się Blowitz. Na zapytanie Carmen Silvy, jakiej właściwie jest narodowości, dał cyniczną odpowiedź: „Urodziłem się w Czechach, mieszkam we Francji, a pisuję po angielsku“. Ktoś z boku szepnął: „a pracuje stale dla Niemców i przeciwko Francji“.

Blowitz zwalczał słownie i towarzysko kampanję, prowadzoną na korzyść Polski na Rivierze. Kiedy go raz pytano w domu amerykańskim i proszono ażeby się wypowiedział w sprawie polskiej, swoim piskliwym głosem odpowiedział, że jest zawsze z respektem dla umarłych. Po alterkacji z jednym z dziennikarzy paryskich życzliwie dla nas usposobionym, pod wpływem złego humoru Blowitz puścił w kurs *bon mot*, które obleciało cały świat, że Polak, pisząc nawet o słońiu musi wpakować sprawę polską. Uszczypliwy żart nie przyniósł nam ujemy!

Nicea była przepełniona przeciwnikami polskiej sprawy, a nawet szpiegami rosyjskimi, którzy w postaci korespondentów i dziennikarzy wślizgiwali się gdzie mogli. Policmajster warszawski Tołstoj badał mnie i czytał mi donos z Nicei. Oskarżenie było tak fanta-

styczne, że wzbudziło we mnie śmiech, to też nie doznałem z tego tytułu żadnej przykrości.

* * *

Pisząc o życiu politycznem we Francji z okresu lat 70-ych zeszłego stulecia muszę przedewszystkiem złożyć hołd pamięci Gambetty, który od Sedanu do końca swego życia (umarł 31 grudnia 1882 r.) był uosobieniem myśli narodowej francuskiej.

Nikt trafniej nie streścił w kilku słowach zasług Wielkiego Francuza niż to uczynił Paul Deschanel w swej książce (*Figures du Passé*) „Gambetta souleva l'âme de tout un peuple. C'est la France qui parla par ses lèvres. Rien ne lui ôtera cette gloire“.

Sądzę że dla naszej młodzieży nie będzie obojętnem zapoznanie się z życiem bohatera.

Rodzina Gambettów była włoską, małomieszczańską, zamieszkiwała Celle Ligure niedaleko Savonny, w jej poczet wchodziło kilku księży, co jest dowodem że była katolicką.

Ojciec wielkiego Trybuna, poślubiwszy Magdalенę Massabie, przeniósł się do Francji do Cahors, gdzie 2 kwietnia 1838 r. przyszedł na świat Leon Gambetta.

Od dzieciństwa przejawiał wielkie zdolności a w szkołach zwracał uwagę swych nauczycieli. Ojciec, ulegając wpływom swej żony i namowom mera Cahors Achilesa Besnières'a, po długich wahaniach zgodził się wysłać syna na studia do Paryża, gdzie po kilku latach zasłynął jako wybitny adwokat i nadzwyczajny mówca.

Śmierć Cavoura pchnęła go na arenę polityczną.

Gambetta z tej okazji wystosował do swych Braci włoskich w języku francuskim odezwę, porywającą tonem i stylem, wzywając młodzież ażeby nie ustawała w pracy,

jaką jej wytknął zmarły „Genjusz Italji“, celem zjednoczenia całego narodu.

Gambetta zakończył swe wezwanie słowami: „Les nations qui veulent être grandes doivent, comme les héros, être élevées à l'école du malheur“.

Działo się to w epoce gorącego italoofilstwa we Francji, to też prawie wszystkie dzienniki paryskie powtórzyły odezwę i z dnia na dzień Gambetta stał się znanym i popularnym.

Przyszły dyktator Francji i prasa francuska zadokumentowały przy tej okazji, że łączność ducha łacińskiego jest silniejsza ponad słupy graniczne.

O dominującej roli, jaką Gambetta odegrał w wojnie z r. 1870 i w ogóle o całej jego działalności, napisano tomy pochwał, co nie przeszkadzało, że pojawiały się i krytyki.

W ogóle kursowały sprzeczne legendy nie tylko we Francji, ale i w całej prasie europejskiej.

Zarzucano np. Polakom, którzy brali udział w manifestacjach z okazji odsłonięcia pomnika w Nicei, twierdząc, że Gambetta był jednym z głównych przywódców masonerii. W krótkim jednak czasie, po uroczystościach nicejskich, pojawiła się w „Temps“ kopja listu ś.p. kardynała Czackiego, podczas kiedy był on nuncjuszem papieskim w Paryżu, który wówczas stanął w obronie i napisał, że „Gambetta, jako wielki patrijota, obejmował swem sercem wszystkich Francuzów i nigdy nie należał do partji, zwalczającej kościół katolicki“.

Po 37 latach od śmierci „Wielkiego Francuza“ pojawiła się bezstronna ocena: książka pod tytułem „Gambetta“. Autor, Paul Deschanel, jak sam pisze, odrzucił panegiryki i luźne oszczerstwa i starał się wiernie odry-

sować postać bohatera, jakim mu się wydał „L'homme de 1870 qui portait en son âme 1914“!

Nasi młodzi politycy i działacze powinni przestudjować tę książkę, znajdą w niej cenne objaśnienia, w jaki sposób Gambetta uratował honor Francji i zdobył własną chwałę.

Kogo nie przekona opinia wybitnego francuskiego pisarza, niech przeczyta co Niemcy pisali o Gambecie.

Colmar von der Goltz, ze sztabu głównego, w *Annalach pruskich*, zdając sprawozdanie w r. 1874 z okresu wojny, w tłumaczeniu przez Deschanela na język francuski, między innemi napisał: „Gambetta avait fait preuves de qualités éclatantes d'organisateur. On ne peut nier qu'il ait montré une force d'âme peu commune. Les attaques ou les soupçons dont l'honneur de Gambetta a pu être parfois l'objet ne méritent pas qu'on s'y arrête. En cela il a partagé le sort de toutes les grandeurs déchues. Les pygmées piétinent bravement sur le géant renversé. L'histoire fera ressortir sa grandeur et disparaître les ombres et les taches. Elle lui reconnaîtra deux mérites immortels. Le premier ce sera d'avoir rendu à la France le sentiment de sa force immédiatement après une chute aussi profonde. Le deuxième en ramenant violemment ses compatriotes vers un but idéal. Si jamais, ce qu'a Dieu ne plaise! notre patrie devait subir une défaite pareille à celle que la France a essuyée à Sedan, je désirerais qu'un homme sût comme Gambetta, l'embraser de l'esprit de résistance poussée jusqu'à ses dernières limites.

Takie oddanie czci przynosi nie tylko chwałę przeciwnikowi, ale i zaszczyt bezstronnemu wojskowemu sprawozdawcy.

Mimo ogromnych zajęć w stolicy Gambetta często

przyjeżdżał do Nicei specjalnie dla odwiedzenia rodziców i siostry, do których był wielce przywiązany. Ówczesny Prezes Izby deputowanych nie lubił życia światowego; przebywał na Rivierze incognito, można go było widzieć czasami w teatrze, skoro się wychylił poza zielony parawanik.

Słyszałem Gambettę przemawiającego w Nicei na Zgromadzeniu z okazji tworzenia się Komitetu pomocy ofiarom turecko-rosyjskiej wojny, nawoływał do składek celem ulżenia losu rannym z obydwóch stron. Pamiętam, że mowa nie podobała się reprezentantom licznej ówczesnej kolonii rosyjskiej, która zorganizowała swój własny Komitet.

Gambetta, jako młodzieniec, w r. 1867 uległ chorobie oczów. Dr. Veckel musiał mu wyjąć jedno oko, celem uratowania drugiego. Skoro przemawiał, gestykulacja, potężny głos, połączony z czarem wymowy, robiły wrażenie, że i to szklane prawe oko świeci blaskiem, dostraja się i wtóruje mówcy.

W tym samym czasie, w Antibes przebywała często zimą redaktorka de „La Nouvelle Revue“, słynna pani Juliette Adam ze swym chorym mężem, z którymi sąsiadowała i przyjaźniła się nierozłączna trójka: twórca III Republiki Thiers z żoną i ze swą belle soeur, panną Dosne. Dodając do tego liczne grono senatorów i posłów, którzy zjeżdżali na Święta Bożego Narodzenia do Nicei, w ciągu kilku tygodni polityka z Paryża przenosiła się na Rivierę francuską.

Ze znanych listów opublikowanych przez p. Juliette Adam jest kilka, które rzucają światło na ówczesne kierunki polityczne we Francji.

Pani Juliette Adam, gorąca zwolenniczka de la Revanche na podobieństwo Villemessant'a, była za przy-

mierzem z Rosją. Gambetta nie mógł się oswoić z tym kierunkiem politycznym. W jednym ze swych listów z Nicei do Antibes, pisze do swojej przyjaciółki: „Dziś miałem przykry bardzo sen: stanęła przedemną Polska, jak kościotrup, z kosą i z wyrzutami“.

Jaka to szkoda, pisał, że Franciszek Józef jest więcej zakamieniałym Germanem, niż Hohenzollernowie, bo dla nas Francuzów najsympatyczniejszym aljansem, oprócz z Włochami, byłby austriacki, który wprowadziłby w naszą orbitę Polaków i wszystkich słowian austriackich.

Gambetta nie tylko pisał, ale pragnął działać w tym kierunku. Nosił się z myślą wydawania w Paryżu wielkiego dziennika, poświęconego wyłącznie kwestji słowiańskiej. Ułożył w tym kierunku cały program, zaczął szukać współpracowników; dział polski miał prowadzić Andrzej Garbiński, który w tym właśnie czasie osiedlił się we Francji. Od tegoż Garbińskiego dowiedziałem się o pewnej sesji nocnej, która się odbyła w gabinecie Gambetty. Upatrzony personel do dziennika oczekiwał na przybycie Trybuna. Los zrządził inaczej; Gambetta wzruszony do głębi wyznał, że cały projekt trzeba uważać za niebyły, gdyż Ambasador rosyjski oświadczył mu oficjalnie, że pojawienie się dziennika celem wygrzebania sprawy polskiej, uważałby za akt skierowany wprost przeciwko Rosji.

Gambetta wkrótce umarł w pełni swej działalności, a za nim poszedł cały ten areopag Francuzów, jemu współczesnych.

Jedna i jedyna postać z owych czasów żyje do dziś dnia, ale jej rusofilstwo bladło z każdym rokiem.

Na długo przed wojną, pani Juliette Adam nawoływała rząd rosyjski i opinię publiczną w Rosji do zmiany systemu rządzenia w Polsce. Płomienna odezwa pani

Adam o autonomję Królestwa Polskiego, a wprost przekleństwa przeciwko gwałtowi, za jaki uważała projekt chełmski, który w jej oczach uchodził za 4-ty rozbiór Polski, irytowały wysokie sfery rosyjskie, którym odpowiedziała listem zaadresowanym do Słowianofilów: „depuis que j'ai l'âge de raison, je defends la Pologne“.

Nie mogę dziś uczcić lepiej imienia pani Juliette Adam względem Polski, jak powtórzyć jej list, nadesłany dla mnie na ręce redaktora „Journal de Pologne“, i ogłoszony w prasie warszawskiej po naszym zwycięstwie nad Bolszewikami.

Abbaye de Gif, 2 Septembre 1920.

Enfin, enfin, la voilà la chère Pologne, telle que nous la voulions, nous, ses vieux amis dévoués! Grande, pour elle-même et salvatrice de la civilisation des âmes europeennes.

Il n'y a pas de mère polonaise plus fière que moi de la gloire des âmes des esprits des corps que les soldats de Pologne, leurs fils lèguent à leurs enfants.

Votre viellissime amie

85 ans demain.

Juliette Adam.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wzmiankę w jej liście, że w r. 1920 zaczęła 85 rok życia, z ogłoszeniem w miesięcznem wydaniu z lipca r. b. w „La Bibliographie“, które doniosło: „L'Académie a décerné le Grand Prix de l'Académie à Madame Juliette Adam pour l'ensemble de son oeuvre“, jest do zakomunikowania fakt, że wielką Francuskę można zaliczyć do fenomenów długoletniej pracy.

*

W Paryżu, jak wiadomo, kluby pierwszorzędne mają swą specjalną pozycję, nieraz uwidoczniają, a nawet klasyfikują stanowisko polityczne i światowe danych jednostek.

Francuzi z najrozmaitszych sfer mają zwyczaj w dniu w których są wolni od zajęć, zbierać się przed obiadem na pogawędkę do klubu, dawniej na partję bezika, a dziś na partję bridge'a. Nic też dziwnego, że i w Nicei kluby pociągały przyjezdnych na sezon zimowy, dawało im to możność zaznajamiania się pomiędzy sobą i wejścia w tak zwany świat.

Najdawniejszy klub nicejski z czasów włoskich, Philharmonique w latach 70 usunął się z życia z cudzoziemcami i zamknął się w ramach lokalnych.

Cercle Masséna, który pierwotnie znajdował się pod kolumnadami na rogu Avenue de la Gare, był wielce ożywiony za prezesostwa Hrabiego de Cessole; pełno w nim było Nicejczyków z rozmaitych sfer i bardzo dużo cudzoziemców. Odbýwały się tam czwartkowe i sobotnie obiady na kilkaset osób, a bale i koncerty na zaproszenia bezpłatne jedne po drugich. Wprowadzono tam w modę poranki taneczne, które zyskały wielką popularność.

Prezes Hr. de Cessole był w najserdeczniejszych stosunkach z kolonją polską; on i jego rodzina jeździli do Polski odwiedzać swych przyjaciół.

Pod koniec 60 lat zeszłego stulecia wybudowano na Promenade des Anglais wspaniały klub: Le Cercle de la Méditerranée, który miał szereg lat rozgłosu światowego. Zrazu postanowiono ograniczyć liczbę członków-cudzoziemców na podobieństwo paryskich klubów arystokratycznych. Cercle był ekskluzywnym. Polacy

mieli łatwiejszy dostęp od innych, gdyż w Komitecie klubowym było kilku Polaków, o ile pamiętam, p. p. Korwin Krassowski, Wiktor Osławski (cioteczny brat Margrabiego Aleksandra Wielopolskiego) i Jaraczewski, który się cieszył przyjaźnią księcia Walji. Zdarzało się często, że wybitni cudzoziemcy szukali pomocy Polaków w celu wprowadzenia ich do klubu.

Bez przesady można powiedzieć, że zaczawszy od koronowanych głów, najwybitniejszych mężów stanu, przedstawicieli wielkich rodów, finansjery i wogóle inteligencji, nie było takich na Rivierze, którychby nie widziano w salonach Cercle de la Méditerranée, a po większej części podczas swego pobytu byli tam codziennymi gośćmi.

Obiady środowe w Klubie cieszyły się wielką renomą; na parę dni przed oznaczonym dniem lista była zamknięta, gdyż ilość osób była ograniczona.

Pamiętam jeden obiad, który mnie utkwiał w pamięci. Pojawił się na nim Książę Józef Lubomirski z gościem o wybitnych rysach i pięknej twarzy, ale ku ogólnemu zdziwieniu grupa Rosjan, znajdująca się w salonie, ostentacyjnie odsunęła się od gościa, a Książę Lubomirski zaznajomił go z Polakami.

Tą osobą był b. panujący Książę bułgarski, Aleksander, który po usunięciu z tronu przez Aleksandra III zjechał do Nicei.

Książę Battenberski był niezmiernie uradowany, że miał sposobność spotkania się z rodakami swej matki, Hr. Hauke, córki obrońcy Zamościa. Przez cały wieczór wypytywał o swą rodzinę w Warszawie i wogóle o stosunki w Polsce. Reszta gości, chcąc zatrzeć nietaktowny postępek Rosjan, wysilali się podczas jego krótkiego pobytu w Nicei, celem uprzyjemnienia mu czasu.

Kiedy piszę o Klubach na Rivierze nie mogę zamilczeć o Cercle Nautique w Cannes, wprawdzie mniej wspaniale urządzonym, ale który ma swoją historję, zważywszy na skład jego członków, rekrutujących się z najwyższych sfer towarzyskich, francuskich i angielskich.

Do Cercle Nautique uczęszczali również i członkowie domów panujących przybyli na zimowe leże i z tego powodu zacytuję pewną wizytę.

W Klubach francuskich jest zwyczaj, który niejednemu raz, że członkowie wchodzi w kapeluszach, zwłaszcza latem i wiosną, skoro są pootwierane okna.

Otóż już w przeddzień, kiedy do Cercle Nautique miał przybyć Hr. Paryża, proszono specjalnie wszystkich członków, ażeby nikt nie wchodził w kapeluszu. Członkowie czekali na Dostojnego gościa, a za jego przybyciem złożyli mu hołd. Znajomym podawał Hr. Paryża rękę, a nieznanym każdemu z osobna składał głęboki ukłon; za nim szedł Prezes Klubu i osobisty przyjaciel Hrabiego Paryża, Dr. Buttura, jedna z sympatyczniejszych postaci w Cannes.

W ostatnim salonie Klubowym odbył się cercle; ponieważ wizyta miała miejsce około 5-ej po południu podano starym zwyczajem poncz, poczem członkowie skupili się celem pożegnania niekoronowanego Monarchy, ale uważanego za szefa rodziny Królewskiej, która przez długie wieki panowała we Francji.

Rodzina Hrabiego Paryża i całe jego otoczenie byli stałymi gośćmi w Cercle Nautique.

Wyróżniający się niezmierną grzecznością, bardzo rozmowny, Duc de Chartres przychodził codziennie do Klubu; grywał whistą zawsze w małych mitenkach, wypytywał partnerów czy się dobrze czują na Rivierze, dbał

o czystość języka francuskiego i nieraz się dziwił dla czego przekręcają u na o mówiąc Clob.

Francuzi tej kategorii z owych czasów stronili od cudzoziemczyzny nie tylko w ubiorach, ale nawet i w kulinarnym względzie, np. nie spojrzeli na kawior, herbatę pili jako lekarstwo, natomiast w grzeczności światowej przewyższali wszystkie sfery i stany.

Można było w Cannes widzieć nieraz starych arystokratów francuskich rozmawiających długo na ulicy z damami i nie zważając na deszcz lub zawieję, trzymających w ręku kapelusz. Ta ich wielka grzeczność mitygowała wyrwasy zamorskich gości i spanoszonej finansjery.

Pamiętam na jednym balu, właśnie w Cercle Nautique, jak jeden z Księżąt Burbońskich zauważywszy, że jego córka odmówiła komuś tańca, natychmiast podążył za młodzieńcem, przeprosił go, przyprowadził do córki, która poszła tańczyć z młodym oficerem francuskim.

Nie jednemu z młodszej generacji zdaje się dziś, że bezceremonjalność i nie poddawanie się rygorom i formom zmniejsza serwitut grzeczności światowej i ułatwia życie i zabawy, tymczasem doprawdy ludzie dawniej bawili się piękniej dla oczu i milej dla duszy.

We wszystkich stolicach i w wielkich wogóle miastach teatr gra dużą rolę w towarzyskich stosunkach. Cóż dopiero powiedzieć o Nicei, która przez zimowe miesiące staje się zbiorowiskiem nie tylko najbogatszych ludzi, ale w dużej części najkulturalniejszych osobistości z całego świata.

Pisząc o teatrach nicejskich muszę na pierwszym miejscu zaznaczyć, że Sarah Bernhardt nawiedzała często Rivierę.

Pamiętam było to zima w r. 1878 w jednej z najwspanialszych rezydencji nicejskich w Château des Palmiers u p. Gambard, ówczesnego konsula hiszpańskiego, odbywał się wielki raut muzyczny.

Po kilku wirtuozach, pomiędzy którymi śpiewał słynny z owej epoki Dział de Soria, zjawiała się deklamatorka, recytując z Ernaniego ustęp z roli Donny Sol. Kiedy padły pierwsze słowa zdawało się słuchaczom, że płyną jakieś niebiańskie tony. Trudno mi opisać wrażenia, jakie ogarnęło wszystkich gości w salonie. Pierwszy raz usłyszałem. To jest Sarah Bernhardt.

Wiadomo do jakich szczytów artyzmu doszła ta wielka artystka, lubo muszę dodać, że w 10 lat później, uległszy silnemu zapaleniu gardła, już nigdy nie odzyskała pierwotnego cudnego głosu.

Dodam epizod, który zajmie czytelników.

Podczas jej ostatniego pobytu w Warszawie otrzymałem od Sary Bernhardt list, w którym nazwała Polskę Ojczyzną swych wnuków.

Sarah miała jedyne dziecko, który był dla niej nieraz powodem wielkich strat finansowych, co nie przeszkadzało, że go kochała nad życie. Maurycy Bernhardt ożenił się z Księżniczką Jabłonowską i to było przyczyną, że się Polską bardzo interesowała.

To też kiedy pojechała do Petersburga, oczarowawszy publiczność, zaproszona została przez Cesarzową Mikołajową na śniadanie. Ku zdumieniu Monarchini Sarah Bernhardt zapytała o sprawę Polską. Usłyszawszy pochlebne zdanie o tej kwestji, a znając dokładnie jak się o tem wyrażała „l'état précaire de ce malheureux pays“, opowiadając o tem zdarzeniu dodawała: Quelle hypocrisie!

Nicejska opera włoska, założona w r. 1853 w starym mieście na rue Saint François de Paule, ma swoją historję pełną sławy teatralnej. Najlepsi śpiewacy i primadonny z owej epoki zjeżdżali po kolei w sezonach, a dnie abonamentowe zamieniały salę teatralną na zebrania wielko-światowe. Polska kolonja figurowała na nich bardzo pokaźnie.

Dnia 23 Marca 1881 r. odbywało się jedno z takich przedstawień. Śpiewano *Lucia di Lamermoor*, w której główną rolę odtwarzała znana śpiewaczka w Warszawie, Bianca Donadio. Nagle powstał pożar, światła zgasły, całą salę ogarnęła panika, której ofiarami padło kilkaset osób.

Nieszczęście położyło koniec operze włoskiej w Nicei.

Odbudowa gmachu w tem samym miejscu, uskuteczniiona z przepychem, dała początek operze narodowej francuskiej.

Były i inne teatry francuskie i włoskie w Nicei, cieszące się różnem powodzeniem, ale nie odgrywały roli w życiu towarzyskiem.

* *

Pod koniec zeszłego stulecia, Riviera uległa żywiołowej katastrofie. Wielkie trzęsienie ziemi nawiedziło Niceę na równi z całym Littorałem.

Byłem naocznym świadkiem tej żywiołowej klęski. Postaram się opisać je w skróceniu.

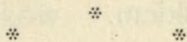
Wspaniały karnawał zwyczajem dorocznym zakończył się w Nicei wielkim balem w Teatrze. W Popielec, o godzinie wpół do szóstej rano, zbudzony zostałem hukiem; z razu wydawało mi się, że willa, w której mieszkałem wali się, ale po chwili usłyszawszy straszne krzyki na ulicy domyśliłem się, że to trzęsienie ziemi.

Wybiegłszy przed dom podążyłem za tłumem ludzi coraz powiększającym się na pobliski plac Masséna, gdzie nie groziło niebezpieczeństwo być pogrzebanym pod gruzami walących się domów.

Ludzie biwakowali na placach i w ogrodach. Nagle pomiędzy ósmą, a dziewiątą rano wstrząs się powtórzył, chociaż krótszy i lżejszy, ale najodważniejsi zaczęli tracić głowę. Dużo ludzi, jak stali, poczęli biedz na dworzec kolejowy, ażeby wyjechać gdziekolwiek, ale powracali, bo nie było pewności, czy tunele nie uległy zniszczeniu, a telegraf był przerwany.

Na następną noc zaczęło się poszukiwanie pojazdów, wehikułów i wszelkiego rodzaju wozów w celu lokowania się w nich jak w kabinach.

Straty w nieruchomościach były bardzo znaczne, ale główną katastrofę stanowił nagły wyjazd cudzoziemców i potrzeba było kilku lat, zanim stali goście zaczęli powracać na Riviérę do swych pałaców, siedzib i nawet do zajęć.



Pod koniec zeszłego stulecia Nicea zmieniła swe oblicze. Stolica Littoralu, która przez długi okres czasu uważana była za Rendez-Vous światowe, zaczęła powoli zamieniać się na caravan sérail. Dawne zasiedziałe domy przez szereg lat do tego stopnia się z sobą zżyły, że mimo różnicy narodowości tworzyły jedną całość towarzyską.

Wskutek raptownego i olbrzymiego napływu gości z całego świata wiele domów nicejskich, unikając nieznamomych koterji, wołały zmienić cały tryb życia. Prywatne wspaniałe przyjęcia znikaly, a ruch światowy zaczął się przenosić do hotelów.

Po Sedanie wielki świat paryski z czasów II Cesarstwa

usunął się od zabaw, a po pewnym czasie, przeniósł się na Rivierę. Ponieważ Nicea zalana była przez cudzoziemców, Francuzi obrali Cannes i tam zaczęli budować wille i osiedlać się na stałe.

Za ich przykładem poszła arystokracja Wielkobrytańska. Założycielem kolonii angielskiej w Cannes można nazwać Lorda Brougham, który się zainstalował w sposób królewski. Na zimę sprowadzał z Anglii wielką stajnię, a jako zapalony myśliwy psy do urządzania wspaniałych polowań, przybywała nietylko liczna służba, ale nawet sprowadzał z Anglii własnych cukierników i piekarzy. Taki wielki dom pociągnął za sobą inne; od tego czasu Anglicy przestali się osiedlać w Nicei, a nawet kilkanaście rodzin tam zamieszkałych przeniosło się do Cannes.

W tej epoce zaszły wielkie ulepszenia i ułatwienia w ruchu turystycznym. Zbudowano przepyszne okręty dla przewożenia tysięcy wojażerów ze wszystkich części świata. Zarządy kolei żelaznych wyteżyły siły celem udogodnienia podróży; luksusowe pociągi zaczęły przebiegać Europę, a zimą kierowano je na Rivierę.

Odtąd te dwie miejscowości podzieliły role: Cannes zastąpiło Niceę w ruchu towarzyskim, a stolica Rivieri nabrała cechy wielkiego zdemokratyzowanego miasta. Rada miejska nie szczędziła kosztów i starań dla ściągnięcia cudzoziemców; podczas świetnego karnawału Nicea przybierała wygląd wszechświatowej stolicy.

Wskutek tylko co zawartego przymierza rosyjsko-francuskiego zaroilo się w Nicei od Wielkich Księżąt i dygnitarzy rosyjskich.

Prawie wszyscy monarchowie, premierzy i działacze polityczni zaczęli zjeżdżać podczas trzech miesięcy zimowych do Nicei, za nimi podążali dziennikarze, reporterzy i rozmaitego rodzaju spekulanci.

Nic też dziwnego, że oprócz zabaw Riviera służyła często za teren politycznych zabiegów i spotkań.

Na początku stulecia odbył się w Nicei ogólny Kongres dziennikarski. Na Prezesa tego zjazdu obrano ministra spraw zagranicznych, p. Stephana Pichon'a.

Ani powołany, ani zaproszony zjechał na ten kongres Stanisław Lesznowski, ówczesny Redaktor Gazety Warszawskiej z ojca i z dziada dziennikarz polski. Minister Pichon dowiedziawszy się o przybyciu polskiego dziennikarza wezwał go do swego gabinetu, pragnąc dowiedzieć się, jaki wówczas panował stan umysłów w Polsce i długo z nim konferował.

Działo się to przed wojną japońską, Pichon proroczo przepowiedział, że w Rosji mogą nastąpić wielkie wypadki i radził ażeby Polacy byli bardzo przezorni, a kończąc powiedział: „Czas pracuje na was i dla was“.

Na krótko przed śmiercią Lesznowski powierzył mi ten sekret polityczny, gdyż za taką uważał rozmowę i zaufanie ministra francuskiego. (W nekrologu o Lesznowskim już raz o tem spotkaniu pisałem).

Na tem miejscu muszę dodać, że Pichon był z rodziny wyjątkowo polonofilskiej. Na pewnym obiedzie Hr. Marja Branicka, mając za sąsiada ministra Pichona, zapytała czy się sprawą polską interesuje. Zapytanie to bardzo go wzruszyło i w odpowiedzi usłyszała z ust ministra, że jego ojciec na łożu śmierci obligował go, ażeby popierał sprawę polską. Tu na tem miejscu pragnę złożyć hołd zacnej i tak oddanej Polsce rodzinie francuskiej.

Po wszechświatowym kongresie dziennikarskim w Nicei, Riviera stała się modną dla rozmaitego rodzaju polityków. Nie długo po tem odbyła się jeszcze jedna wielka manifestacja, wprawdzie żałobna, ale z dużą dozą polityki.

Odsłonięcie pomnika Gambetty w Nicei podniesiono do święta narodowego; na tę uroczystość zjechał Prezydent Loubet i prezes ministrów Clemenceau, który z tej okazji wygłosił porywającą mowę. Z obecnym prezesem weteranów, Adolfem Julianem Święcickim, braliśmy udział w tej żałobnej uroczystości francuskiej. Nazajutrz „Le Petit Niçois“ i „L'Eclaireur“ wdzięcznie zaznaczyły udział Polaków i złożenie wieńca, a telegram Resursy Kupieckiej w imieniu Warszawy, mimo tysięcy depesz figurował na jednym z pierwszych miejsc. Dzienniki francuskie nazwały udział Polaków „Le renouveau de sympathies polonaises envers la France“.

Ruch polityczny zaczął się na dobre szerzyć zimą na Littoralu. Zjeżdżali licznie Włosi, przeważnie zwolennicy Crispiego. Wypadkowo mieszkając pod jednym dachem, zaznajomiłem się z tymi politycznymi włoskimi działaczami.

Właściwie mówiąc, oni pierwsi wyświetlili mi ówczesny horoskop polityczny, a w szczególności przyczyny, dla których Włochy przystąpiły do przymierza z Niemcami i ze znenawidzoną w Italji Austrią. Według zdania przyjaciół włoskich, ten aljans miał specjalne zadanie utrzymania równowagi i pokoju.

Pamiętam, jak zwolennicy i bliscy przyjaciele Crispiego twierdzili, że gdyby Włochy nie były przystąpiły wówczas do przymierza, Niemcy, nie mogąc uważać pomocy Austrii, bez gwarancji jej granic ze strony włoskiej, za dostateczną przeciwwagę sojuszu francusko-rosyjskiego, staraliby się za wszelką cenę odnowić tak zwane Święte przymierze, które przez cały wiek trzymało w szachu kontynent europejski. Moi przyjaciele włoscy dodawali zwykle jeszcze drugą alternatywę, że Niemcy, nie mogąc dopiąć celu z Rosją, musieliby po-

godzić się z Francją i zawrzeć z nią układ, co byłoby dla Włoch bardzo niewygodne, a dodawali zawsze: dla was Polaków zabójcze.

W tym samym czasie dowiedziałem się w Nicei od blisko stojących do Crispiego Włochów, że ich szef, podczas swego pobytu w Karlsbadzie, zaprzyjaźnił się z grupą Polaków, że chodził na podwieczorki polskie i przypatrywał się mazurowi i że na popołudniowej zabawie, jeden z tancerzy polskich przyklęknąwszy przed panią Liną Crispi, poprosił ją do mazura. Prezes ministrów włoskich ubawił się tem serdecznie i okłaskiwał. Crispi prosił, ażeby nie psuć krwi Niemcom i nie rozgłaszać o tem towarzyskiem zdarzeniu. Upewniano mnie, że Crispi, żegnając Polaków w Karlsbadzie zapewnił, że ich kocha za patriotyzm, łaćnińskość i za ten ciągły romantyzm, chociaż nieraz nawet dla nich samych szkodliwy. Crispi krytykował Polaków za to, że bojkotują aljans francusko-rosyjski i dodał, że musi im szczerze powiedzieć, że tylko na podstawie tego politycznego układu może Polska odzyskać swą niepodległość.

Jeżeli dziś z oddalenia oceni się te przewidywanie, trzeba stwierdzić wielką życzliwość Crispiego dla Polaków, która wówczas miała cechę kontrowersu z polityką, którą sam prowadził. Rezultaty wielkiej wojny i konfiguracja państw europejskich stwierdza, że Crispi był jednym z najwięcej przewidujących europejskich mężów Stanu i polityków.

Dla ścisłości muszę dodać, że nie wszyscy jego następcy byli wiedzeni tym samym sentymentem dla Polski.

W czasie, kiedy nasi posłowie w Dumie rosyjskiej postawili wniosek o autonomji Królestwa Polskiego, Polacy, którzy mieli stosunki osobiste we Francji i we

Włoszech, robili staranie, ażeby za pośrednictwem wybitnych polityków i dziennikarzy poprzeć sprawę polską na Zachodzie.

Liczne grono Polaków i Polek na Rivierze przesłało adres do Matyldy Serao z prośbą o zabranie głosu w naszej sprawie; jeden z wielkich dzienników paryskich przyrzekł umieścić na czołowym miejscu artykuł wielkiej pisarki włoskiej. Znana u nas i admirowana śpiewaczka, Bellincioni, osobista przyjaciółka Matyldy Serao, wręczyła jej ten adres.

Księżna Jerzowa Radziwiłłowa, która prowadzi oddawna jeden z najwytworniejszych salonów w Rzymie, pośredniczyła w tej sprawie. Niestety, Matylda Serao wyznała szczerze Księżnej, że była niezmiernie ujętą zaufaniem do niej Polaków, pragnęła zadość uczynić ich życzeniu, ale trafiła na stanowczy opór ze strony ministerstwa spraw zagranicznych.

Czego nie można było przeprowadzić we Włoszech na rzecz sprawy polskiej, uczynił najstarszy w Europie mąż Stanu, były Prezes Ministrów i historyk francuski, Emile Ollivier. Na wstawienie się znanego publicysty we Francji, Stanisława Skarżyńskiego, który z Rivieri pojechał specjalnie do rezydencji Olliviera w Saint Tropez, pojawił się w Figarze, jako artykuł wstępny list otwarty Olliviera do Cesarza Mikołaja II.

Były prezes Ministrów za Czasów Napoleona motywował swoje wystąpienie z racji stosunków, jakie łączyły z dziadkiem Mikołaja II-go, Aleksandrem II i na osobistą korespondencję z tymże, którą zachował jako pamiątkę. W liście tym gorąco wzywał monarchę, jako Cesarza Rosji i Króla Polskiego, do przyjaznego uregulowania stosunków pomiędzy dwoma krajami słowiań-

skiem, z których jeden złączony jest z Francją przymierzem, a drugi odwieczną przyjaźnią.

Na długi czas i równie z Olivierem pojawiło się dużo głosów francuskich, które stale omawiały sprawę polską i położenie Polaków w trzech zaborach.

Nie mogę wyliczyć wszystkich po kolei, bo boje się ominąć kogokolwiek z naszych obrońców.

Warszawa była jednak w możności podziękowania w swych murach Braciom Leblondom, André Lichtenbergerowi i znakomitemu mężowi politycznemu p. René Pinon.

Na bankiecie podniesiono zasługi Braci Leblondów, którzy pierwsi poruszyli sprawę Polski we Francji, odegrano poraz pierwszy w Warszawie Marsyljanke i w ślad za nią hymn polski.

Wspaniała uczta w Resursie Kupieckiej na cześć braci Leblondów o mało nie spowodowała zamknięcia tej najstarszej instytucji towarzyskiej w Warszawie. Szlachetne i odważne wystąpienie ówczesnego konsula generalnego francuskiego, p. de Coppet, który oświadczył Policmajstrowi, że po hymnie francuskim zażądał pieśni polskiej, wstrzymało zapędy policji rosyjskiej.

Panu de Coppet, mimo że zajmował bardzo krótko posadę konsula francuskiego w Warszawie, urządzono manifestacyjny odjazd, jakiego od czasu niewoli nie widziała stolica na cześć cudzoziemca. Przeniesiony na najwyższą placówkę konsularną do Londynu, przez cały czas wojny popierał sprawę polską i zaprzeczał insynuacjom, jakie przeciwnicy Polski szerzyli w Anglii.

André Lichtenberger przyjeżdżał dwukrotnie do Warszawy przed wojną celem wygłoszenia odczytów. Zgotowano mu przyjęcie serdeczne, zawarł on przyjacielskie

stosunki z wybitnymi działaczami polskimi i od tej pory do dziś dnia znakomity pisarz zabiera głos w naszych sprawach.

Francuzi od czasu zawarcia przymierza, za wyjątkiem układów wojskowych i strategicznych, unikali mieszania się do spraw wewnętrznych rosyjskich.

Jednakże zmiana granic Królestwa Polskiego wywołana kwestją chełmską i liczne odezwy i wezwania społeczeństwa polskiego, poruszyło nie tylko prasę, ale i wielu wybitnych pisarzy francuskich. Zainteresowanie się działaczy francuskich, którzy zjeżdżali na Riwierę, uwydatniło się najwidoczniej w tej sprawie.

Kreśląc dziś wspomnienia z niedalekiej przeszłości, trzymam w ręku artykuł wstępny z dnia 12 Stycznia 1911 r. naczelnego redaktora „Gil Blas’a”, p. Henri de Noussanne, który zaznajomiwszy się z Polakami na Riwierze i zaproszony przez nich zjechał do Warszawy. Zasiągnąwszy szczegółów o sprawie chełmskiej, w artykule wyżej wymienionym pod tytułem „La Russie contre la Pologne”, między innymi zarzutami, zakończył swój artykuł:

„La Russie opprime les Polonais. Prenons garde ont trahit les Polonais à Petersbourg. On nous trahira un jour. La Russie garde des instincts barbares. Au XX siècle elle prépare des lois, qui pour nous, datent du Moyen Age. Or la vérité, c'est que sur l'ordre du gouvernement impérial, une asssemblée servile va commettre un crime au nom d'une soit disant raison d'Etat qui cache en réalité, une infamie et une sottise. La Russie apprendra plus tard à ses dépens que les peuples, comme les particuliers, payent les sottises et expient les infamies“.

Cytuję specjalnie opinię wytrawnego dziennikarza, ażeby przekonać czytelników, że Francuzi zdawali sobie sprawę do czego doprowadzi reakcja Rosję.

Na Littoralu wśród cudzoziemców sprzyjających Francji cieszył się wielkiem zainteresowaniem dwutygodnik starannie redagowany „La Revue pour les Français“, założony w r. 1905 w Paryżu. Naczelny redaktor, p. Gaston Bordat, od chwili założenia propagował zacieśnienie przyjaźni z Anglią i ze Stanami Zjednoczonymi.

Niezależnie od tej myśli podstawowej, postanowił wprowadzić na forum publiczne sprawę polską, wszedł w stosunki z Sienkiewiczem, Orzeszkową i z wieloma działaczami polskimi. Co miesiąc pojawiały się artykuły nadsyłane z trzech zaborów, a redakcja uświadamiała ze swej strony społeczeństwo francuskie o doniosłości tej sprawy. Dział polski powierzyła redakcja wybitnemu publicyście, p. Pierre Rocheverre, który surowo karmił prasę rosyjską, zwłaszcza Nowoje Wremia, za polakożerstwo. Przypominam sobie pewien artykuł w „La Revue pour les Français“, który się kończył słowami: „La Pologne sera libre ou la Russie ne sera pas“. Czy można było wówczas domyślać się, że przepowiednia sprawdzi się za naszego życia. Jak wiadomo rząd bolszewicki zamienił tytuł Rosji na litanję liter komunistycznych związków.

Zacytuję jeszcze jeden dowód, że wyższe umysły we Francji nie pozostawiały bez odpowiedzi wezwań Polaków. Znana i świetna publicystka p. Séverine na zbiorowy apel Warszawianek w sprawie chełmskiej, opublikowała w dniu 15 kwietnia 1910 r. wstępny artykuł w „L'Intransigeant“ pod tytułem: „France ma soeur“.

Protestując gwałtownie przeciwko odrywaniu pro-

wincji od Królestwa Polskiego, kończy: „Car la Pologne, elle n'est pas morte. Sous le talon, sous la hache, elle demeure invaincue, ayant la foi en ses destins, elle subit, elle n'abdique pas. Et c'est d'une beauté surhumaine, cette constance à travers la persecution. Près de 80 ans ont passé. C'est le Tzar qui est venu. Rien que le soleil qui tournoie et la poudre qui poudroie. Mais on entend comme un bruit de chevauchée, les idées en marche. L'horizon ne sera plus vide longtemps ô Pologne!

Zebrałem te głosy z różnych sfer społeczeństwa, ażeby wykazać naszej młodzieży, że podczas przymierza z Rosją można było „quand-même“ poruszyć umysły francuskie na korzyść Polski.

Doprawdy, nie wiem czy są inne dwa narody obce rasą i mową, któreby się mogły poszczycić takimi więzami duchowemi, jakie istnieją pomiędzy Francją a Polską!

Wielka prasa francuska również nie była obojętną na sprawy polskie. Będąc dłuższy czas w stosunkach z „Matinem“ zwłaszcza w okresie, kiedy dyrektorem politycznym był znany w świecie dziennikarskim Jules Hedeman, który użyczał mi nieraz szpalt swego poczytnego pisma, zaznajamiałem go z polskimi działaczami. Ostatni raz byłem u Hedemana na jesieni w r. 1913 z panem Eustachym Dobieckim, który go świetnie objaśnił o sprawie polskiej w Rosji i o stosunkach parlamentarnych w Petersburgu.

Po wypowiedzeniu wojny odebrałem od Hedemana z „Matina“ telegram z prośbą o objaśnienie o stanie umysłów w Polsce, a obszerny list drogą okólną doszedł mnie razem z wiadomością o jego śmierci.

Jules Hedeman, będąc pochodzenia holenderskiego, dał dowód swej szczerzej naturalizacji, mając przeszło 40

lat poszedł jako ochotnik i w pierwszych bojach padł na polu chwały.

Wielki dziennik republikańsko-katolicki „L'Echo de Paris“ od założenia był zawsze przyjaźnie usposobiony dla Polaków, ale jako blisko stojący do ministerstwa spraw zagranicznych musiał się liczyć z wymogami rządu rosyjskiego.

W ostatnich latach przed wojną nie unikał sprawy polskiej; czego najlepszym dowodem, że Sienkiewicz w czasie ankiety przeciwko zawotowanemu w Berlinie prawu wywłaszczania polskich obywateli w Księstwie Poznańskim obrał „L'Echo de Paris“ jako organ do ogłaszania odpowiedzi najwybitniejszych ludzi z owej epoki przeciwko tej zbrodni.

Myśl urządzenia zbiorowej francuskiej wizyty do Warszawy znalazła poparcie u braci Simondów, redaktorów „L'Echo de Paris“. Uważano tam odsłonięcie pomnika Szopena za specjalną okazję dla wykonania tego projektu. Pamiętam moje spotkanie z Massenet'em w redakcji „L'Echo de Paris“, który radził, ażeby na czele wyprawy postawić Księżnę de Rohan, ale dla nadania wagi wizycie, oprócz najwybitniejszych artystów i pań z wielkiego świata paryskiego, starać się usilnie o udział byłego prezydenta Loubeta, gdyż wskutek wpływów, jakie posiada w Rosji, ułatwi te trudne przedsięwzięcie, a Polakom da dowód, że pamiętają o nich we Francji.

Rosyjska prasa wnet się dowiedziała o tym projekcie, wprawdzie nie krytykowała, ale zaopatrzyła wiadomość znakiem zapytania, czy wizyta będzie miała charakter wyłącznie towarzyski i cel muzyczno-artystyczny?

W Warszawie wśród grona wtajemniczonych osób myśl ta znalazła wielce sympatyczne zainteresowanie.

Ponieważ zbieranie składek na okazałe przyjęcie Francuzów było utrudnione przez obawę, ażeby Rosjanie nie zapragnęli wziąć w tem udziału, miało się to uskutecznić w szczupłym gronie urządzających, między którymi admirał projektu, Hr. Władysław Branicki z Frascati, przyrzekł, że jego kasa będzie otwarta dla tego sympatycznego projektu. Ponieważ odsłonięcie pomnika nie mogło się odbyć przed wiosną 1915 r. podniesiono myśl, ażeby przedtem zaprosić znanego działacza i współredaktora „L'Echo de Paris“, Hr. Alberta de Mun i na miejscu w Warszawie omówić z nim sprawę wizyty francuskiej do Polski.

Na zaproszenie nadszedł list, który pięknnością stylu i serdecznością czarował czytających; zapewnienie, że przybędzie z radością do Warszawy, było zawarunkowane smutną przepowiednią: „si Dieu me prête vie et santé“. W długim liście Hr. de Mun był ustęp, który pozwalał sobie zacytować: „Jeszcze się taki Francuz nie urodził, któryby Polsce źle życzył. Bo pytam za co? Mam przekonanie, że u was względem nas panuje to samo uczucie?“

Projekt dojrzał w Warszawie. Pani Hr. Józefowa Potocka, złączona przyjaźnią z domem Hr. de Mun, podjęła się urządzenia dla nich przyjęcia i ułatwienia zwiedzenia Galicji, czego sobie życzyli.

Los zrządził inaczej. Hr. de Mun po krótkiej chorobie umarł na parę tygodni przed wojną.

Nad trumną tego nad wyraz szlachetnego Francuza i gorliwego katolika złączyły się w żałobie wszystkie partje polityczne, nie wyłączając nawet skrajnie lewicowych. Uważano go we Francji za sztandar „de l'union sacrée“, która na równi z bohaterską armią przyczyniła się do zwycięstwa nad najeźdźcami.

Dla ścisłości dodać muszę, że w czasie ery przedwojennej cały tak zwany wielki świat paryski zaczął się interesować sprawą polską. Był np. projekt wystawienia opery polskiej „Halki” w Paryżu. Hr. Greffulhe, znana organizatorka wielkich auditions musicales, starała się, czy nawet już miała pozwolenie dyrekcji Wielkiej opery do urządzenia „Dnia polskiego” z programem: „Halka” i „Wesele w Ojcowie”. Ambasador rosyjski p. Izwolski był tym projektem wielce zaniepokojony.

Zaznaczając w mojej książce zainteresowanie się tak zwanej wielkiej prasy francuskiej sprawą polską przed wojną, mam pomiędzy wyżej wymienionymi dowodami, również na myśli obronę jednego z dzienników warszawskich przed represją sądową władz rosyjskich.

Darują łaskawi czytelnicy, że tę rzecz muszę opisać obszerniej.

Podczas jednego zimowego sezonu w Nicei zaprzyjaźniłem się z rodziną Herbettów, co mnie skłoniło do wejścia w kontakt z p. Jean Herbette, ówczesnym dyrektorem działu politycznego w „Temps”, a obecnie ambasadorem w Moskwie; wymienilem z nim kilka listów w sprawie polskiej.

Utkwiła mi w pamięci odpowiedź, że Rosjanie, którzy biorą nieraz za złe Francuzom, występującym w kwestji polskiej i domagającym się zmiany systemu rządu w Polsce, przekonają się kiedyś na własnej skórze o szkodliwości swego uporu i że „quand-même” on się interesuje sprawą Polski.

Zaszedł fakt, który mnie skłonił do wykorzystania punktu widzenia p. Herbette’a.

W Warszawie przez dziesięć lat wychodziła gazeta „Dzień”, pismo odznaczające się frankofilstwem i śmiało dowodzące, że rząd francuski nie powinien

pozostawać obojętny na stale rosnące niebezpieczeństwo zalewu Królestwa Polskiego przez Niemców. Na potwierdzenie tej tezy redaktor naczelny p. Stefan Gorski wydał książkę, w której szczegółowo objaśniał z dołączeniem mapy Powiśla i wykazał wzdłuż rzeki osady kolonistów niemieckich planowo usadowionych.

Znany lekarz w Warszawie i wielki frankofil, Dr. Wincenty Szyszło, przetłumaczył pracę Gorskiego na język francuski i wraz z mapą przesłał prasie paryskiej. Niebawem pojawiło się obszerne streszczenie w „Journal des Débats“, a dużo dzienników francuskich powtórzyło, komentując, że „les sentinelles allemandes“ nad brzegami Wisły mogą ułatwić Niemcom zagarnięcie Królestwa Polskiego. Nic dziwnego, że wpływowo sfery niemieckie w Rosji zaczęły agitację przeciwko pismu, jawnie występującemu przeciwko temu niebezpieczeństwu.

Bawiłem na kuracji w Marienbadzie, gdzie odebrałem wiadomość od p. Stefana Gorskiego, że wytoczono redakcji „Dnia“ proces polityczny za szkodliwy kierunek dla państwa, który groził zamknięciem pisma. P. Gorski jednocześnie prosił mnie o powiadomienie o tem prasy francuskiej.

Uważałem za najwłaściwsze zwrócić się do p. Jean Herbette ze szczegółowymi objaśnieniami. Na mój list nie odebrałem odpowiedzi.

Ale jakaż była moja radość, kiedy po powrocie do Warszawy zjawił się u mnie p. Stefan Gorski z podziękowaniem, że dzięki interwencji p. Herbette sądy rosyjskie nie tylko umorzyły sprawę, ale że jego, jako redaktora naczelnego, przepaszano za nieporozumienie, jakie się zdarzyło.

Ani p. Gorski ani ja nie dziękowaliśmy p. Herbette, bo dotąd zostało dla mnie tajemnicą, w jaki spo-

sób nastąpiła tak prędką metamorfoza w zapatrywaniach sądów rosyjskich. Ale jak to już raz wzmiankowałem, nigdy nie zapóźno złożyć podziękę za usługi, oddane przez cudzoziemców podczas naszej długiej niewoli.

Czy potrzebuję dodawać, że najstarsze organy prasy francuskiej, jak „Journal des Débats“, albo „Revue des Deux Mondes“ nie przestały nigdy zapatrywać się na sprawę polską pod kątem widzenia swych poprzedników, kiedy to Polskę uważano za młodszą siostrę Francji.

Pisząc o prasie paryskiej zaznaczam, celem zwrócenia uwagi czytelników, nazwisko Périvier'a, redaktora „Figara“, a następnie Gil Blasa, który w tym ostatnim podniósł śmiało i odważnie sprawę polską, korzystając z dawnych stosunków z kolonją polską, która mu dostarczała konkretnych wiadomości o stanie duchowym i finansowym w trzech zaborach, zdecydował się na lansowanie sprawy, o której zamilkła prasa francuska od czasu zawarcia przymierza z Rosją.

Zaczęły się pojawiać artykuły redakcyjne i nadsyłane, głównie z Warszawy, które przypomniały starszej generacji francuskiej „le pays pour lequel nos pères ont combattu et nos mères ont pleuré“, jak się o Polsce wyrażała pani Séverine. Młodzież francuska zaczęła się dowiadywać, że kraj przywiślański nie jest prowincją Cesarstwa rosyjskiego i że Warszawa jest sercem wielkiego niegdyś państwa.

Périvier gorąco nawoływał swoich ziomków, żeby zamiast na Kaukazie i w Mandżurji, zaczęli konkurować z Niemcami w zakładaniu fabryk w Polsce. Artykuł o Łodzi, jako o polskim Manchesterze, wywołał duże wrażenie w Paryżu.

Za jego redakcji *Gil Blas* stał się u nas najpopularniejszym zagranicznym dziennikiem, setki abonentów przybywało co miesiąc, a stosy nadchodzących egzemplarzy były rozchwytywane w Warszawie.

W *Gil Blasie* pojawił się, zdaje mi się w 1905 r. artykuł pod tytułem: „Le Prince Herman“, był to portret słabego, udzielnego księcia wielkiego kraju, jakby żywcem skopjowana postać Mikołaja II, autor opisuje chwiejność, obłudę, tchórzostwo, znęcanie się nad obco-krajowcami, w końcu upadek państwa i gilotynę.

Zrazu cenzura nie dopatrzyła się, ale w krótkim czasie skonfiskowała szereg numerów, nadsyłanych z Riwieri. Przepowiednia po 12 latach sprawdziła się, tylko zamiast gilotyny, nie zostało nawet prochów po Cesarzu Mikołaju II.

Périvier stale przypominał swoim rodakom o naszych bohaterach z epoki napoleońskiej, o wierności Polaków, którzy nawet po opuszczeniu Cesarza przez starą gwardję, jeszcze na „place de Clichy“ pozostali wierni przysiędze i bronili wejścia zwycięzcom do Paryża, po tylu latach, był pierwszym z dziennikarzy, który przypominał ten historyczny epizod.

Muszę zwrócić uwagę czytelników, że młodzież francuska, obierająca kierunek polityczny i dziennikarski, interesowała się nieraz sprawą polską, na dowód zacytuję Henri Vimard'a, który za temat swych studjów obrał Polskę; przeszło przez 2 lata kolejno zwiedził trzy zabory i przesyłał swe wrażenia do bardzo wpływowych dzienników: do „L'illustration“, „Liberté“, a jego artykuł w sprawie chełmskiej w ówczesnym organie rządowym, w „La Dépêche de Toulouse“, zwrócił uwagę na tę kwestję polityczną. Henri Vimard, rokujący wielkie na-

dzieje, a przytem wypróbowany przyjaciel Polski, padł w obronie Ojczyzny w r. 1916.

Ostatnie lata przed wojną zaznaczały się u nas przyjazdami wybitnych Francuzów, celem wygłaszania odczytów pod protektorem l'Alliance française.

Przyjazd tej miary polityka, jak p. René Pinon, wzbudził w Warszawie wielkie zainteresowanie; na cześć jego i jego małżonki urządzono kilka wspaniałych przyjęć. Rosyjskie oficjalne sfery były zdziwione jego wypowiednią, że na wypadek wojny kwestja polska stanie się osią polityczną w środkowej Europie i do dziś dnia broni tej tezy z punktu widzenia pokoju.

Jak wiadomo, p. René Pinon jest uważany we Francji za jednego z wybitnych polityków, czego dowodem, że po objęciu rządów przez Poincarego, objął opróżniony przez tegoż dział polityczny w „Revue des Deux Mondes“.

W przededniu wypowiedzenia wojny, zawitał do Warszawy wracając ze Wschodu wielki poeta Verhaeren. Urządzono na prędce bankiet w Resursie Kupieckiej; zgromadziła się elita dziennikarstwa i pisarzy z Reymontem na czele. Verhaeren w swej mowie zaznaczył, że powracając z Rosji i wjeżdżając w granicę Polski, uczuł się odrazu, że jest w Europie i podkreślił, że Belgja na Zachodzie, a Polska na Wschodzie, są granitowymi słupami, które podtrzymują Zachód. Na wyjeździe, dziękując za serdeczne przyjęcie w imieniu żony i swoim dodał, że to nie tylko pragnienie, ale pewność, która przez jego usta przemawia, że taki naród jak polski musi odzyskać samodzielność. Jako natchniony poeta przepowiedział; niestety, nie mógł własnymi oczami ujrzeć tego, w co wierzył, gdyż na początku wojny uległ wypadkowi na kolei i na miejscu umarł.

Wyliczając wielu wybitnych mężów na Zachodzie, szczerze oddanych polskiej sprawie, zarezerwowałem na zakończenie złożenie hołdu czcigodnemu dyrektorowi szkoły politycznej w Paryżu, Anatolowi Leroy Beaulieu, profesorowi wiekszej części francuskich dyplomatów.

Postać jakby wzięta z galerji portretów wybitnych mężów. Był wysokiego wzrostu, chudy, głowa upięk-szona karbującemi się włosami, robił wrażenie nie tylko mędrca, ale zarazem i apostoła.

Nie zapomnę nigdy chwili, kiedy spadł na mnie niczem niezasłużony zaszczyt ujrzenia go u siebie w hotelu Scribe. Le Roy Beaulieu wręczył mi kopję listu otwartego do mnie, który umieścił w tem piśmie, t. j. w Gil Blas, gdzie się pojawił mój artykuł o kwestji chełmskiej.

Dyrektor francuskiej szkoły politycznej stwierdził, że Królestwo Polskie na Kongresie Wiedeńskim było mocno okrojone na korzyść Austrii i Prus i że nie leży w interesie przymierza rosyjsko-francuskiego niszczyć owoców zwycięstwa pod Wagram i Jeną. Opu-szczając hotel dodał, że od młodości kocha Polskę, a dziś więcej niż kiedykolwiek, bo odczuwa, że jest z dwóch stron prześladowana. Ujawszy mnie za rękę głosem ewangelisty rzekł: „Ucałuj pan odemnie każdego swego przyjaciela, ziomka tej miłej memu ser-cu krainy“.

Jeden z jego zdolniejszych uczniów, ceniony i znany wówczas w Paryżu publicysta p. Pierre Rocheverre, który mnie zwiastował przybycie Dyrektora szkoły politycznej i był świadkiem wynurzenia Czcigodnego Le Roy Beaulieu streścił je następnie w jednym ze swych artykułów, jako głos starej generacji, który powoli opa-nowywa młode francuskie pokolenie.

Znajdą się pomiędzy czytelnikami sceptycy, którzy wezmą starania Polaków, ażeby za pomocą Francji uzyskać ustępstwa od moskali za dalszy ciąg polskiego romantyzmu, będą to ci sami krytycy, którzy walki orężne ze stokroć silniejszym wrogiem podciągali również pod miano egzaltacji.

Ale zaprzeczyć nikt nie może, że przygotowanie opinii francuskiej i wogóle zachodniej, jak niemniej „le renouveau de l'amitié polono-latine“, przyczyniło się wielce do scalenia dzielnic Polski na kongresie Wersalskim.

Sądzę, że ten kontrowers polityczny został przez wielkie dziejowe wypadki zupełnie zlikwidowany i że po zdobyciu niepodległości cała opinja w Polsce skryształizowała się i przysła do przekonania, że wszyscy obcy i swoi, którzy w jakikolwiekby sposób, szablą, piórem, nawet na drodze towarzyskiej podczas niewoli starali się w godny sposób pomódz sprawie polskiej, zasłużyli na wdzięczność przyszłych pokoleń.

*
*
*

Kto nie był na Rivierze nie może nawet w przybliżeniu zdać sobie sprawy ze stanu rzeczy w miniaturowym Księstwie Monaco. Mimo, że jest ono złączone z wielkiem Państwem francuskim, posiada udzielnego panującego, własne wojsko i swój régime w rodzaju absolutnego rządu. Egzystencję i niepodległość swoją zawdzięcza rozumowi rodziny Grimaldich, którzy umieli zawsze postępować ze swymi sąsiadami, Włochami i Francuzami.

Przed założeniem domu gry w Monte Carlo Książęta Grimaldi znajdowali się w trudnem piętrem położeniu i byli zmuszeni sprzedąć część swego terytorjum: Mentonę z przyległościami, Francji.

Niedawno zmarłemu Księżu Albertowi I należy się przydomek odnowiciela. Wielki mecenas sztuk pięknych, muzyki, zapalony archeolog i podróżnik uwiecznił swe panowanie wybudowaniem na górze w Monaco Muzeum Oceanograficznego.

W dobrze zrozumianym interesie swojej dynastji był zawsze wielkim pacyfistą, a pod koniec życia żarliwym zwolennikiem porozumienia francusko-niemieckiego. To też pragnął skorzystać z odsłonięcia pomnika Gambetty w Nicei i zapowiedzianego przybycia na tę uroczystość Prezydenta Loubeta i naznaczył na ten sam termin otwarcie i poświęcenie Muzeum Oceanograficznego, na które obiecał zjechać Cesarz Wilhelm II.

Myśl spotkania się w pałacu Księcia Monaco reprezentantów dwóch dotąd wrogich Państw zaczęła kiełkować do tego stopnia, że o tem mającem nastąpić zdarzeniu zaczęły pisać dzienniki. Powstał wielki alarm we Francji. List protestujący przeciwko temu wielce popularnej na Rivierze pani Juliette Adam był kroplą wody, która przepełniła czarę. Odsłonięcie pomnika Gambetty odłożono na tydzień z okazji zaśląbnięcia Prezesa ministrów Clemenceau.

Niezrażony tem Książę Albert zaczął kołatać w tym celu do Rosji, ażeby skłonić Cara do idei aljansu francusko-niemiecko-rosyjskiego. Bytność kilkudniowa Księcia Alberta w Warszawie z zamiarem udania się do Rosji była tego dowodem. Polecono urządzić dla Niego polowanie na żubra w puszczy Białowieskiej, ale Książę Monaco do Petersburga nie został zaproszony.

Albert I miał w osobie Hr. Wittego, który nieraz zjeżdżał na Rivierę, gorącego stronnika tej idei, na stwierdzenie tego byłem w posiadaniu dokumentu, którego niestety nie mogłem zabrać z sobą opuszczając Moskwę.

Od Hr. Wittego odebrałem kilka własnoręcznych listów; jego listy francuskie starannie pisane można było odczytać, rosyjskie tylko za pomocą lupy — pisał do mnie, ażeby go bronić przed napadami nacjonalistów francuskich, a głównie przeciwko krytykom pani Juliette Adam, które w Petersburgu, zwłaszcza na Dworze Cezarskim, wielce mu szkodziły.

W ostatnim swym liście do mnie zdemaskował się: myślał, że Polacy za kubana w postaci autonomji podtrzymają ideę francusko-niemieckiego przymierza.

W odpowiedzi przesałem moją broszurę z r. 1909, w której potępiłem zakusy polityków tego rodzaju co Witte, zjeżdżających ławą na Rivierę. W mojej książce twierdziłem, że olbrzymia część Polaków uważałaby za jedną z najnieszcześniejszych kombinacji politycznych splot aljansów, o których marzył Hr. Witte.

W Monte Carlo oddawna było kilka willi należących do Polaków, wjeżdżając do Monaco widniał napis: „Villa Walewska“ — w latach 70 przeszła na własność Hr. Franciszkostwa Pusłowskich, którzy przez długi okres czasu stanowili centrum towarzyskiego ruchu polskiego, zwłaszcza podczas Świąt Wielkanocnych zbierała się w ich gościnnym domu kolonja polska na Święcone.

Zamieszkiwał zimą w Monte Carlo w swej willi „Soleil“ Stanisław Skarżyński, znany ekonomista i publicysta polski. P. Emanuel Bułhak nabył obszerne tereny w okolicach Monaco i dotąd je posiada.

Hrabina Taida Rzewuska, ostatnia z rodu Małachowskich, przeniosła się po powstaniu do Paryża, gdzie jej salon zaliczano do najwykwintniejszych. Zimą rezydowała często w Monte Carlo w Hotel de Paris; pomiędzy 5-ą a 7-ą codziennie spotykano u niej elitę wielkoświatową.

Byłbym niewdzięczny, żebym przy tej okazji nie wspomniał o działalności Stanisława Skarżyńskiego w prasie europejskiej wogóle, a francuskiej w szczególności. Zamieszkując w zimie swoją willę Soleil w Monte Carlo jeździł często do Paryża. Nie dyło prawie większego dziennika francuskiego, któryby nie drukował jego artykułów nie tylko o kwestji polskiej z punktu widzenia politycznego, ale i w innych sprawach. Artykuł o hipotekach polskich, które lubo skopjowane z wzoru francuskiego, ale ulepszone przez wybitnych polskich prawników i które uważał Skarżyński za najlepsze w Europie, wywarły w prasie francuskiej pochlebną ocenę. Artykuł po zawotowania wywłaszczenia Polaków w Prusiech pod tytułem: „Christmas en deuil“ obiegił, za wyjątkiem Niemiec, nie tylko Europę, ale nawet z Południowej Ameryki nadchodziły dzienniki z jego wezwaniem do przeciwstawienia się tej zbrodni. „Msza łacińska“ ze szpałt dzienników warszawskich, przetłumaczona została na wszystkie języki, gdzie przeważa katolicyzm. Że praca w sprawie polskiej nie była bezowocna na Littoralu, miałem tego dowód. Słyszałem nieraz od Skarżyńskiego, wyjątkowo obeznanego z paryskimi dziennikarskimi stosunkami, że to, co mu się udało przeprowadzić w sprawie polskiej w ciągu jednego dnia w Nicei, potrzebował nieraz całych tygodni w Paryżu.

Redaktorzy wielkich pism paryskich, do których dostęp był zawsze trudniejszy niż do gabinetów ministerjalnych, spędzając wakacje na Rivierze, przyjmowali zaproszenia polskie, odwzajemniając się przy sposobności. Łacińska rasa podczas biesiad nie jest sztywna i konwencjonalna, to też dziennikarze i publicyści nie sznurowali ust i mówili o wszystkim szczerze i otwarcie.

Pisząc o Monaco muszę dodać, że po śmierci księcia Alberta zajął tron syn jego, dobrze znany tym Polakom, którzy go pamiętają jako pułkownika wojsk francuskich podczas plebiscytu na Śląsku.

Obecny książę Monaco nie jest żonaty; po jego najdłuższym życiu obejmie rządy przybrana córka, panna Valentinois, która za życia Alberta poślubiła księcia de Polignac i stworzyła nową linię Grimaldich.

W tym roku powstała nowa polska placówka w Monaco. Rząd nasz, na podobieństwo innych państw, stworzył konsulat przy rządzie księcia Monaco. Pan Stanisław Józefowicz mianowany został konsulem honorowym. Żona jego jest córką powszechnie szanowanego ś. p. senatora Bruna. Oboje starają się ułatwić pobyt rodakom i opiekują się robotnikami polskimi, którzy ściągają z Westfalji na Riwierę.

Na równi z rozrostem Cannes i Nicei poszła Mentona, jako miejscowość kuracyjna, odwiedzana przez Polaków jeszcze za czasów włoskich. Wprawdzie mniej się tam bawiono i politykowano, ale corocznie kolonja polska grupowała się w kilkunastu zamożnych domach, które nie zapominały o tradycyjnych świętach. Przez całe ubiegłe stulecie Polacy byli witani w Mentonie jako najmiłsi goście, a udział naszych pań w stowarzyszeniach filantropijnych miejscowych zjednał im legendarną sławę — *charitable comme une polonaise*. Słyszałem te słowa z ust burmistrza Mentony.

Beaulieu, które datuje swoją historję od wizyty Napoleona III na Riwierze, przedtem znane było jako małeńka miejscowość i nazywała się Bon Air.

Akt narodzenia tej miejscowości znajdował się na

krzyżu, postawionym na pamiątkę bytności Napoleona III, gdzie pierwszy raz użyto oficjalnej nazwy Beaulieu.

Une route entre Nice, Villefranche et Beaulieu
le 12 Septembre 1861. *Napoleon III.*

Prions pour le bonheur de la Famille Impériale.

Ten napis na krzyżu istniał jeszcze jakiś czas po moim przyjeździe na Rivierę, jako przeciwstawienie regimu republikańskiego znikł powoli.

Przed laty 50, dojeżdżając do Nicei, pociąg zatrzymywał się na chwilę w Beaulieu; z okien wagonu podróżnik widział naprzeciwko dworca Hotel des Anglais i kilkanaście willi rozrzuconych na wzgórkach.

Rozrost Beaulieu był bardzo szybki. W parę lat zaczęły się formować i budować całe ulice, a po jakimś czasie wielkie hotele zaczęły rywalizować z nicejskimi.

W ostatnich czasach przybyła w Beaulieu śliczna mała willa, która nosi napis „Moja“. Ówczesna właścicielka tejże, hrabianka Natalja Potocka ze znaną jej uprzejmością witała serdecznie gości u siebie, zwłaszcza Warszawiaków i nazywała swój dom „częstuchną“ polskości na Rivierze.

W ostatnich kilkunastu latach przed wojną obrano, jako nową placówkę na Rivierze, cudowne ustronie koło Mentony, wtłoczone w pełne morze: Le Cap Martin. Cesarzowa Eugenia wybudowała tam dla siebie zimową rezydencję i założyła wspaniały park.

Widocznie na całej Rivierze francuskiej niema podatniejszego gruntu dla cieplarnianej flory, gdyż nie jeden z podróżników, wjeżdżając do Cap Martin wyobrażał sobie, że się znajduje w Afryce. Spacer do Grand Hotel du Cap Martin, jest bezwarunkowo jedną z najpiękniejszych ekskursji na całym Littoralu.

*
*
*

W moich wspomnieniach należy się specjalna rubryka stosunkom czesko-francuskim i francusko-czesko-polskim.

W latach ośmdziesiątych zeszłego stulecia, ogarnęła całą Francję myśl przymierza z Rosją celem wyjścia z izolacji politycznej, w jakiej się Francja wówczas znajdowała. Ochłodzenie stosunków rosyjsko-niemieckich, spowodowane Kongresem berlińskim, było pobudką do tej kampanii politycznej.

Od chwili formowania się przymierza francusko-rosyjskiego, Czesi, w dobrze zrozumianym interesie własnym, stali się żarliwymi zwolennikami tej nowej konstelacji politycznej. Współudział duchowy Czechów w tej zasadniczej dla Francji sprawie wywarł w Paryżu wrażenie. Kilku wybitnych słowianofilów francuskich zaczęło nawiedzać Pragę i powoli narodził się czechofilizm we Francji.

Kto był widzem tych francuskich wizyt w Czechach musi przyznać, że przechodziły serdecznością i entuzjazmem wszystkie tego rodzaju Zjazdy. Przyjęcia na cześć paryskiej rady miejskiej, dla Ernesta Denis i dla wielu pierwszorzędnych polityków francuskich były wprost fantastyczne. Były jeszcze dosadniejsze objawy. W Pradze ogłoszono przetarg publiczny na wielką dostawę dla stolicy; było dużo niemieckich konkurentów, prasa czeska poprowadziła wielką kampanję na rzecz firmy francuskiej, a skoro się utrzymała, urządzono z tego powodu narodową manifestację.

Nie zapomniałem zdarzenia, które mnie się przytrafiło. Jadąc w Pradze na kolej, na spotkanie pani Ju-

liette Adam, wstąpiłem do kwiaciarni celem odebrania obstalowanego bukietu. Nie przyjęto odemnie pieniędzy. Właścicielka sklepu uważała, że dla niej wystarczy zaszczyt, że kwiaty z jej firmy ozdobią salony wielkiej Francuski.

Starsza generacja francuska, wierna swej przyjaźni dla Polski, rozumiała to lepiej od młodzieży, że Polacy, gnębieni przez Carski rząd, nie mogą pójść śladami Czechów w kwestji sojuszu francusko-rosyjskiego.

To też szlachetni Francuzi obligowali Polaków, ażeby czekali cierpliwie do czasu, kiedy Francja w dwój-przymierzu zajmie kierownicze miejsce.

Mieszkało w Nicei kilku wybitnych Francuzów bardzo zaprzyjaźnionych z Polakami, którzy, w myśl projektu Gambetty, radzili odnowić dawne stosunki z Czechami w celu duchowego złączenia dwóch najkulturalniejszych narodów słowiańskich. Trzeba dodać, że nasi przyjaciele włoscy, a nieraz nawet Anglicy, którzy zaczęli nawiedzać Pragę, podzielali całkowicie myśl polityczną Francuzów w kwestji stosunków czesko-polskich.

Biegnać myślą do owych czasów stwierdzam, że projekt zawiązania stosunków czesko-polskich zakiełkował w Nicei, zanim rozpoczęto debatować nad nim w Pradze i w Warszawie.

Pod koniec zeszłego stulecia, podczas wizyt francuskich w Pradze, zaczęto mówić o sprawie polskiej i o zacieśnieniu stosunków czesko-polskich. Dużo działaczy czeskich poświęciło się wyłącznie tym sprawom i stanęło na czele tego politycznego *revirement*.

Niektóre dzienniki niemieckie, zwłaszcza „Kölnische Zeitung“, podniosły alarm, uroiły niebezpieczeństwo słowiańskie nad Wisłą. Tymczasem wszystkie wysiłki w niczem nie zmieniły stanu rzeczy w zaborze rosyjskim.

Rząd carski gniótł dalej Polaków, a wzamian Polacy nie chcieli słyszeć o porozumieniu słowiańskim.

Od czasu, kiedy we Francji porzucono myśl de la Revanche, a natomiast dla utrzymania równowagi i zapewnienia pokoju zawarto przymierze z Rosją, niejednemu politykowi przychodziło na myśl, że taki podział Europy, jak trójprzymierze contra Francji i Rosji, może doprowadzić do europejskiej wojny.

Przezorni politycy powzięli myśl, ażeby zapomocą Węgrów i Czechów odciągnąć Austrię od zapalów wojowniczych i grono Francuzów sądziło, że to, czego się nie udało za pośrednictwem Polaków, osiągnie się łatwiej w Budapeszcie.

Frankofilizm był w modzie przez dłuższy czas na Węgrzech. Generał Türr i konsulowie francuscy, zwłaszcza p. de Fontenay, założyciel l'alliance française, położyli duże zasługi w tym kierunku.

Jako jeden z dowodów przytoczę wizytę w Budapeszcie pani Juliette Adam. Wielka Francuska, bystro orjentująca się w polityce, powzięła myśl załagodzenia antagonizmu czesko-węgierskiego, który ułatwiał Berlinowi wpływ na politykę austriacką. Jej przyjazd do Węgier spotkał się ze sprzeciwem Wszech Niemców. Pani Adam w swych pamiętnikach opisuje, że na przedostatniej stacji przed Budapesztem zjawiała się deputacja od stolicy celem powitania jej, prosząc, ażeby się prześiadła do specjalnego wagonu salonowego. Skoro pociąg ruszył, nastąpiło silne wstrząśnienie. Pani Juliette Adam upadła, a potłuczone szyby pokrwawiły jej twarz. Okazało się, że wagon był umyślnie źle przyczepiony.

Pomimo wypadku, kiedy wieczorem ukazała się na galowem przedstawieniu w Operze, publiczność zgłaszała jej wspaniałą manifestację. Przyjęcie było bardzo

serdeczne, ale misja pogodzenia nie udała się. Czesi dopominali się oddzielnej autonomji dla Słowaków, o czym Węgrzy nie chcieli nawet słuchać. W tym samym czasie wśród naszej emigracji i zamieszkujących Polaków w Paryżu ścierały się prądy w kwestji słowiańskiej, co wpłynęło na stosunki czesko-polskie.

Jeszcze nie przebrzmiała kampanja Duchinińskiego w Paryżu, który odmawiał Wielkorusom pochodzenia słowiańskiego, Hr. Antoni Wodziński, znany powieściopisarz francuski, propagował l'alliance franco-slave wyłącznie z Czechami i z austriackimi słowianami. W Polsce Orzeszkowa i w poglądach na sprawę czesko-polską z nią związani, zawarli śluby polityczne z Czcigodnym Jelinkiem. To też po wojnie rosyjsko-japońskiej i po osłabieniu Rosji projekt francuski zbliżenia czesko-polskiego zaczął trafiać na podatny grunt.

Zresztą, jak to często bywa na świecie, że czego przyjaciel przeprowadzić nie może — wspólny wróg dokona jednym cięciem.

Ustawa o wywłaszczaniu Polaków z rodzinnej ich ziemi, zawotowana w Berlinie, złączyła wysiłki dwóch bratnich narodów w obronie zagrożonej ziemi słowiańskiej. Wielka akcja w tym kierunku Sienkiewicza w Paryżu, uwieńczona i poparta odpowiedzią najwybitniejszych Francuzów przeciwko tym bezprzykładowym rugom spokojnych obywateli polskich, poruszyła nietylko prasę, ale i całą opinię francuską.

Jednocześnie wystąpienie Kramarza w parlamencie wiedeńskim, gromiące rząd pruski za ten okrutny i jawny Drang nach Osten, przyspieszyło naturalny bieg rzeczy w stosunkach czesko-polskich. Z okazji czeskiej manifestacji na korzyść Polski nietylko w Nicei, ale i na

całej Rivierze, Francuzi dawali dowody, jak wiele się interesują tem zbliżeniem dwóch słowiańskich narodów.

Lubo były to czasy kiedy Polacy, zwłaszcza w zaborze rosyjskim i pruskim, nie wyszli jeszcze z rezerwy politycznej, ale głosy francuskie mają zawsze dostęp nie tylko do rozumu, ale i do serc polskich.

Wszystko to razem wzięte stworzyło w Warszawie przychylną atmosferę w kierunku zbliżenia się do Czechów.

Nieraz zwykłe zdarzenia albo dzienne wypadki pomagają łatwiej, niż akcja starannie ułożona przez zawodowych polityków.

Praga Czeska urządziła w tym czasie Wystawę ogólnonarodową i Komitet wystosował serdeczne zaproszenie do Polaków dla wzięcia udziału.

W Warszawie odbyło się liczne zebranie z tego powodu. Wszyscy obecni przyjęli serdeczne zaproszenie Czechów. Jednomyślnie powierzono przewodnictwo księciu Zdzisławowi Lubomirskiemu celem urządzenia zbiorowej wycieczki na Wystawę do Pragi, który, jak pamiętamy, wywiązał się znakomicie z tego trudnego politycznego zadania. Syn wielce popularnego i zasłużonego księcia Tadeusza, przewidział doniosłość zetknięcia się po wiekowej przerwie z bratnim narodem. Zdzisław Lubomirski zebrał i zorganizował liczny i odpowiedni komitet.

Projekt urządzenia wycieczki do Pragi spotkał się z ogólną aprobatą w Warszawie. Dzienniki o odmiennych kierunkach, jak Kurjer Warszawski i Kurjer Poranny, albo Słowo i Dwugroszówka, jednym słowem prawicowa i lewicowa prasa poparły bardzo gorąco ten projekt.

W Warszawie istniała oddawna Beseda Czeska. Wielu członków tej instytucji utrzymywało nietylko kon-

takt z miejscową ludnością, ale związani byli przez małżeństwa z Polakami. Niektórzy z nich na czele z Janem Cemusem byli propagatorami duchowej unji czesko-polskiej. Beseda Czeska ułatwiła Komitetowi warszawskiemu nawiązanie stosunków z prezesem Wystawy w Pradze celem opracowania całego programu wycieczki polskiej do Czech. Ta pierwsza od niepamiętnych czasów zbiorowa wizyta stała się przełomową w stosunkach dwóch sąsiednich narodów.

Czesi wzięli jako wzór zgotowane przyjęcie Francuzom podczas przyjazdu tychże na Zjazd Sokołów słowiańskich. Wszystkie czeskie partje wezwały miasta i sioła, przez które mieli przejeżdżać Polacy, do przyjęcia drogich gości. Pociąg, wiozący kilkaset osób z Warszawy, był witany owacyjnie przez ludność czeską od granicy aż do Pragi. Szereg listów i depesz gratulacyjnych, które nadeszły z okazji pobytu Polaków w Pradze, a między innymi od Prezesa Izby, Paul Deschanela, ministra spraw zagranicznych Pichona, były dostatecznym dowodem, że Francja interesuje się przyjaźnią dwóch słowiańskich narodów.

Małżonka przewodniczącego wyprawy, księżna Marja Lubomirska, odebrała kilka telegramów od kobiet francuskich, z których jeden kończył się: „Niech żyje braterskie triol“

Wizyta polska w Czechach wywołała niebywały entuzjizm przez kilka dni. Praga żyła pod flagą polską; goszczono po królewsku drogich gości.

W celu zrewanżowania się za wspaniałe przyjęcie, Księstwo Lubomirscy, zamiast wydania balu lub rautu, postanowili pozostawić trwalszą pamiątkę pobytu; złożyli znaczniejszą kwotę, a uczestnicy wycieczki poszli za ich przykładem. Zebraną sumę przeznaczono na założenie

Klubu polsko-czeskiego w Pradze. Klub ten przetrwał burzę wojenną i do dziś przyczynia się do kulturalnego i politycznego zacieśniania stosunków czesko-polskich.

Następstwem wizyty polskiej był przyjazd Czechów do Warszawy.

Należy zaznaczyć, że ówczesny rząd rosyjski zrobił niesłychane ustępstwo na te trzy dni czeskie: powierzył spokój i bezpieczeństwo stolicy w ręce polskie. Warszawa, poczuwszy się wolną, dała ujście swemu temperamentowi. Mieszkańcy wielkich miast, którzy zazwyczaj w takich przyjęciach biorą szablonowy udział, kończący się na wiwatach i oklaskach, usłyszawszy na ulicach Warszawy Czechów, przemawiających w języku zrozumiałym dla tłumów, zareagowali spontanicznie. Nasza stolica nie widziała nigdy takiego entuzjazmu z okazji przyjazdu cudzoziemców. Wizyta czeska zaniepokoiła do tego stopnia rząd austriacki, że przewodniczący wycieczki dr. Gros, burmistrz miasta Pragi, wezwany do Wiednia musiał opuścić Warszawę przed końcem uroczystości.

Tak więc napozór nic nieznaczące w ogólnoeuropejskiej polityce wizyty Polaków w Pradze, a Czechów w Warszawie miały nie tylko wpływ na stosunki w Austrii, ale i refleks na przymierze francusko-rosyjskie.

W Rosji działacze i cała prasa zwróciła wielką uwagę na ten ruch, który nazwano słowiańskim, gdy w samej rzeczy w Polsce i Czechach był on chęcią wyjścia z izolacji politycznej.

W tym samym czasie we Francji zbieg okoliczności, może powrót do dawnych tradycji, a najprędzej przezorna polityka przerwała długie milczenie w sprawie polskiej.

Od czasu wyjścia Polaków z rezerwy zaczęły się pojawiać artykuły o sprawie polskiej nie tylko pisane

przez Francuzów, ale nawet nadsyłane z Polski, albo pisane na Rivierze przez Polaków.

Zetknięcie się Francuzów z kolonją polską na Rivierze nie tylko pomogło i doprowadziło do porozumienia czesko-polskiego, ale może i przyspieszyło le renouveau naszej odwiecznej przyjaźni z Francją.

Wizyty w stolicach Polski i Czech miały donieść następstwa: nasze włościaństwo samorzutnie zaczęło jeździć do Czech; trzeba było słyszeć gospodarzy, powracających z objazdu po wsiach czeskich, gdzie byli przyjmowani jak bracia; jedni i drudzy porozumiewali się doskonale z sobą.

Uroczystości na cześć Palackiego były dalszym powodem wizyt polskich. Wycieczka odbyła się pod przewodnictwem Księcia Włodzimierza Czetwertyńskiego, sybiraka, co w Pradze czeskiej wywołało wielkie wrażenie.

Pamiętam pożegnalny bankiet wydany dla Polaków, przybyłych w celu oddania czci bojownikowi czeskiego odrodzenia. Książę Włodzimierz Czetwertyński, snując swe przeżycia, powiedział między innymi, że nie umie uzasadnić na czem opiera swe przekonanie, ale że jest pewny, że, mimo swych podeszłych lat, doczeka się jeszcze niepodległości Czech i Polski.

Lubo ze względu na nieprzyjemności, mogące wyniknąć dla Polaków po powrocie do kraju ze strony rządu rosyjskiego, nie ogłoszono tego ustępu mowy, ale pamiętam do dziś dnia wrażenie, jakie ta przepowiednia wywarła na współbiesiadników.

* * *

Od roku 1877 prawie corocznie wiele pięknych tygodni, a nieraz całe zimowe i wiosenne miesiące, spędzałem na Rivierze francuskiej. Tak było w 1914 roku.

Opuszczając Niceę w piękny dzień majowy nie mogłem się spodziewać, że za trzy miesiące łuna wojenna ogarnie całą Europę.

Cztery lata zmagania dwóch stron wojujących i opis tych wypadków dziejowych, które poruszyły pióra najwybitniejszych mężów stanu i pisarzy, nie leżą w zakresie moich wspomnień. Toteż kończąc relację z epoki przedwojennej przyplęwa do mego serca fala podziwu nie tylko dla cudów natury słonecznego kraju, ale i dla ludzi, których przeważnie znałem we Francji i miałem możność ocenić. Widziałem i głęboko odczułem wzory wysokiego poczucia religii, honoru, wzniosłego patriotyzmu, pierwszorzędnej kultury, a także werwy i dowcipu.

* * *

Po kilkunastoletniej przerwie pojechałem na wiosnę w roku zeszłym na Riwierę w celu poratowania zdrowia, a przytem miotała mną chęć odwiedzenia dawnych przyjaciół nicejskich.

Wjehawszy na Riwierę francuską, począwszy od Vintimigli, byłem zdumiony jej rozrostem. Od granicy włoskiej począwszy snują się bez przerwy na wzgórzach nowe wille i domy wzniesione po wojnie. Mentona i Monte Carlo prawie połączone, a małe miejscowości, znane przed wojną z przejazdów i spacerów, rywalizują obecnie ze stacjami klimatycznymi na Littoralu.

Coż dopiero powiedzieć o stolicy Rivieri? Nicea z przedmieściami, przed 50 laty prowincjonalne miasto, liczy obecnie 250,000 stałych mieszkańców, a zimą przewyższa 400,000. Ten napływ datuje się z okresu wojny. Mnóstwo ludności, zmuszonej opuścić zniszczone przez Niemców departamenty północne, przeniosło się cza-

sowo na Riwierę, znalazłszy później możność zarobkowania, osiedliło się na stałe przeważnie w Nicei.

Mieszkańcy północnej Francji, uzdolnieni w przemyśle, powiększyli dobrobyt całej Rivieri, czego następstwem jest rozbudowa Nicei na wielką skalę.

Powstały nowe dzielnice. Gmachy 5-cio i 6-piętrowe zmieniły typ miasta. Nicea, niegdyś wyłącznie stacja klimatyczna, ma dziś wygląd wielkiego miasta.

W przeciwieństwie do tego rozrostu upadło towarzyskie życie. Sformowane kolonje cudzoziemskie, salony, nawet kluby, jak np. Cercle de la Méditerranée, egzystujące od pół wieku w Nicei, są już dziś tylko wspomnieniem.

Napływowa fala tak zwanych gości sezonowych zmieniła dawny wygląd. Nowy świat góruje nad Europą. Południowa Ameryka konkuruje ze Stanami Zjednoczonymi w dostarczaniu wojażerów.

Na Littoralu podzielono hotele na dwie katogorje: jedne dla bogatych Amerykanów i Anglików, bajecznie drogie, drugie dla niezamożnych Europejczyków, w których ceny są nieraz niższe, niż w wielu miastach na kontynencie.

Skoro od czasu do czasu spotykają się dawni towarzysze z przedwojennych czasów, rzucają się sobie w objęcia, ciesząc się ze spotkania.

Dla ścisłości muszę dodać, że Mentona nie wiele się zmieniła i zachowała swe przeznaczenie jako uzdrowisko klimatyczne, a Monte Carlo i Monaco, obejmując małą przestrzeń, już przed wojną w większej części zabudowane, nie mogły się powiększyć w tym stosunku ak Nicea i Cannes.

Wszystkie te miejscowości opierają głównie swój dobrobyt na liczbie cudzoziemców, zjeżdżających na se-

zony. Rady miejskie powinny na serjo pomyśleć o niebezpieczeństwie, jakie grozi ich miastom w przyszłości i zahamować plagę, za jaką uważam przerażający ruch automobilowy. W dzień i w noc — hałas i niebezpieczeństwo przejechania trapią kuracjuszków.

Wszystkie domy, hotele i wille zbudowane są frontem do ulic i alei, warczące automobile istnie stwarzają piekło z tych miejsc, przeznaczonych na wypoczynek.

Jeżeli nie nastąpi jakieś *modus-vivendi* pomiędzy jazdą *des désoeuvrés* a życiem szukających spokoju, ci ostatni dla ratowania zdrowia zaczną się chyba przenosić do miejsc niedostępnych dla automobilistów.

Odnalazłem zaledwie część dawnych przyjaciół, gdyż czas i przejścia wojenne przerzedziły znacznie liczbę starych domów nicejskich.

Nicejczycy, Mentończycy i Monegaskowie nic nie stracili ze swych dawnych przekonań i w swem zachowaniu się względem nowej Ojczyzny.

W starożytnym kościele z XIV wieku, w *Sainte Devotte* na *Condamine*, wmurowana wielka płyta marmurowa z nazwiskami Monegasków, poległych w obronie Ojczyzny jest najlepszym dowodem, że Francję uważają za kraj rodzinny. Jak wiadomo *Nicea* i *Mentona* wyróżniały się patriotyzmem podczas wielkiej wojny i od czasu połączenia z Francją wydały szereg wielkich bohaterów narodowych z *Gambettą* na czele.

Mieszkańcy całej Riwieri francuskiej kochają swoją Ojczyznę nie mniej od rdzennych obywateli, ale zachowali jednak predylekcję do narzecza nicejskiego i zwyczajów włoskich. Byłem głęboko przejęty, słysząc to samo zdanie, jakie przed 50 laty niejeden Nicejczyk wygłaszał, że całe nieszczęście, że w takim jak oni

położeniu Opatrzność nie daje ludziom dwóch serc na podobieństwo ojca i matki.

W domu jednego ze starych nicejskich rodów, z którym dawno jestem zaprzyjaźniony, dowiedziałem się o wielkich stratach, jakie poniósł w czasie wielkiej wojny. Senior, poważny starzec, ale pełen zapału, zaznaczył, że jako uczestnik bitwy pod Solferino doznał wielkiej pociechy, widząc, że armja francuska i włoska walczyły razem przeciwko wspólnemu wrogowi.

Nicea, miasto rodzinne Garibaldiego, ustąpione Francji przez Cavoura, na znak wiecznej przyjaźni włosko-francuskiej, powinno być widocznym węzłem politycznym franko-włoskiej przyjaźni.

Wiodąc w tym przedmiocie rozmowę, słyszałem ubolewania, że po wojnie dwa bratnie narody idą znów innemi drogami, to też przyszedłem do przekonania, że tak zwani „Les Niçois“ powinni, w myśl Cavoura, odegrać rolę pośredników i pionierów przymierza francusko-włoskiego.

W moim przygodnym pamiętniku starałem się wykazać piękną i użyteczną działalność Francuzów w zbliżeniu czesko-polskiem. Czyżby nasi młodzi dyplomaci i politycy nie mogli odegrać tej samej roli w stosunkach włosko-francuskich z jednej, a włosko-jugosłowiańskich z drugiej, w celu zapewnienia stałego pokoju w Europie?

Naszą przewodnią myślą polityczną powinno być przekonanie, że bez uzgodnienia polityki dwóch wielkich łacińskich narodów, Zachód będzie wiecznie chromął, a my sercem i duchem z nim złączeni, będziemy zmuszeni bronić sami Europy od najazdu ze Wschodu.

Zwolennicy Pan-Europy, którzy czynią wysiłki, celem uzgodnienia na Wschodzie interesów większych

i mniejszych narodów odmiennych kultur, ras i wyznań, gdyby chcieli rozpocząć swą kampanję od propagandy na korzyść ścisłego porozumienia dwóch najwybitniejszych narodów łacińskich, łącznie ze światową potęgą angielską, zapewniliby na długie lata pokój na kontynencie europejskim.

Akcja w tym duchu, uwieńczona powodzeniem, pomogłaby pacyfistom w wielkim projekcie ogólnego pokoju.

Zakończyłem pobyt tegoroczny na Rivierze odwiedzeniem Cannes. Wyszedszy z dworca byłem zadziwiony ruchem wielkomiejskim. Objeżdżając miasto co chwila napotykałem nowe dzielnice, powstałe po wojnie. Przybyła niezliczona ilość willi, hoteli i pensjonatów na wzgórzach, a w centrum przebudowano małe hotele na wielkie, upiększając każdą prawie ulicę i dróżkę.

Dawne magnackie rezydencje i obszerne parki nie uległy takiemu poćwiartowaniu jak w Nicei, co jest dowodem, że wielkopańskie życie utrzymało się nadal w Cannes. Arystokracja i haute-finance francuskie pozostały wierne swym dawnym zwyczajom, a kolonja angielska z lordowskimi rodzinami na czele powiększyła się jeszcze po wojnie wskutek tego, że życie w Anglii jest o wiele droższe niż na Rivierze.

Dawna Croisette zamieniła się dziś na jedną z najpiękniejszych plaż morskich.

Przed kilku laty zainaugurowano z powodzeniem letni sezon kąpielowy w Cannes. Część hoteli, otwartych przez cały rok, przyciąga komfortem, zabawami, a zwłaszcza redukcją cen podczas lata, mnóstwo cudzoziemców.

Kto widywał dawniej corocznie zamierający sezon na początku maja musi podziwiać szczęśliwą pomysłowość Rivierańczyków, którzy zimowe stacje klimatyczne przerobili na cudowny całoroczny pobyt dla wojażerów

z całego świata, co zarazem podniosło dobrobyt i rozrost całego Littoralu.

Na końcu Croisette wybudowano wspaniałe Casino w nim teatr, sale balowe i dla wszelkiego rodzaju gier i zabaw, które gromadzą codziennie tłumy publiczności i w ten sposób koncentruje się w Casino cały ruch światowy w Cannes. Tuż obok zwraca uwagę każdego cudzoziemca wspaniały pomnik Króla Edwarda, przez kilkadziesiąt lat najpopularniejszej osobistości na Rivierze, znanego pod imieniem „Le Prince de Galles”.

Nie łatwo znaleźć powody do więcej zasłużonej wdzięczności względem cudzoziemca niż ten hołd, oddany pamięci wielkiemu przyjacielowi narodu francuskiego i protektorowi Rivieri francuskiej.

Wielkość Edwarda, jako panującego, była następstwem jego ruchliwej młodości i chęci zbliżenia się do wszystkich sfer, nie tylko w Wielkiej Brytanji, ale wszędzie, gdzie nogą stąpił, to też Edward VII obejmując tron znał świat i ludzi!

O tym wielkim królu można śmiało powiedzieć, że podczas krótkiego panowania zmienił konstelację polityczną w Europie. Faszoda, paryskie sympatje dla Boerów zapomniane, a na miejsce zgrzytów politycznych powstała Double Entente, która przyczyniła się w wielkiej mierze do rezultatu wojny i do naszego wyzwolenia!

Przed kilkadziesiątu laty byłem przedstawiony księciu Walji w Cercle Nautique w Cannes i przez ten czas prawie corocznie miałem *l'insigne honneur* spotkania przyszłego Króla na Rivierze.

Mając w pamięci słowa do mnie wyrzeczone, że ma dużo sympatji do Polaków, kiedy był już otoczony majestatem korony, podczas pobytu J. Królewskiej Mości

w Marienbadzie, za pośrednictwem osoby blisko stojącej Dworu podałem memorjał o sprawie polskiej, sporządzony w języku francuskim, w którym pragnąłem zwrócić uwagę J.K. Mości na nowy kierunek polityczny, jaki się objawił w Czechach i w Polsce w celu zespolenia aspiracji dwóch bratnich narodów, opisując szczegółowo Zjazd polsko-czeskie w Pradze i w Warszawie.

Następnie wyliczyłem po kolei różnorodne poglądy wszystkich partji rosyjskich w Dumie nie tylko na sprawę polską, ale i na aljans z Francją, jak niemniej ustosunkowanie się posłów, co do zbliżenia z Wielką Brytanią.

Streszczając głosy prasy rosyjskiej w tych sprawach, wymieniłem artykuł, który się pojawił w owym czasie w „Petersburskich Wiedomostiach“ i był powtórzony przez prasę liberalną ze smutną przepowiednią dla Francji w razie wojny z Niemcami. Podałem w memorjale ustęp z tego artykułu, który w tłumaczeniu na język francuski brzmiał jak następuje:

„La Prusse se sert de slaves contre les slaves comme de ses propres régiments — elle fait mieux elle affaiblit la Russie en lui opposant la Pologne désabusée dans ses espérances. L'alliance franco-russe se trouve être atteinte indirectement par cette politique.

Supposer un instant une attaque allemande sur la frontière française — l'allié russe ne pourrait contrebalancer les forces mises en jeu. La puissance militaire d'Autriche-Hongrie paraliserait le mouvement de secours de la Russie. La question polonaise non réglée, l'Autriche entrerait en Pologne certes sous des auspices libérateurs; et nulle doute qu'à l'état ou en sont, les choses actuelle-

ment des troubles sérieux précèdèraient son action militaire et entraveraient l'action de l'armée russe.

Or la question polonaise résolue, c'est la combinaison renversée; c'est l'Autriche annulée comme force agressive, c'est la sympathie du monde slave acquise à l'Empire du Nord — c'est la sécurité de la France mise en dehors du doute, c'est la guerre rendue impossible sur le continent européen.

Voilà la vraie cause pour laquelle la Prusse consacre tous ses efforts pour empêcher la réapparition de la question polonaise“.

Mój memorjał w języku francuskim zakończyłem słowami:

„En ce moment d'après l'avis des politiques compétents deux courants opposés se disputent le pouvoir du monde; d'un côté celui qui est inspiré par l'esprit magnanime et plein de noblesse d'Edouard VII; de l'autre celui que dirigent les hommes ayant affirmé le principe monstrueux de la force primant le droit.

Souhaitons que ce soit le premier qui triomphe!

ANTOINE de ŻWAN.

Marienbad, Septembre 1908. Tepler Haus.

Ten cały memorjał w języku francuskim, po złożeniu J. K. Mości Edwardowi VII, in extenso, pojawił się w kilka dni potem w „Times'ie“.

Przewidywania moje spełniły się za panowania szlachetnego syna Edwarda VII, Króla Jerzego!

* * *

Opisując rolę towarzyską i polityczną kolonji polskiej na Rivierze przez lat kilkadziesiąt zamknę ją dzisiaj objaśnieniem.

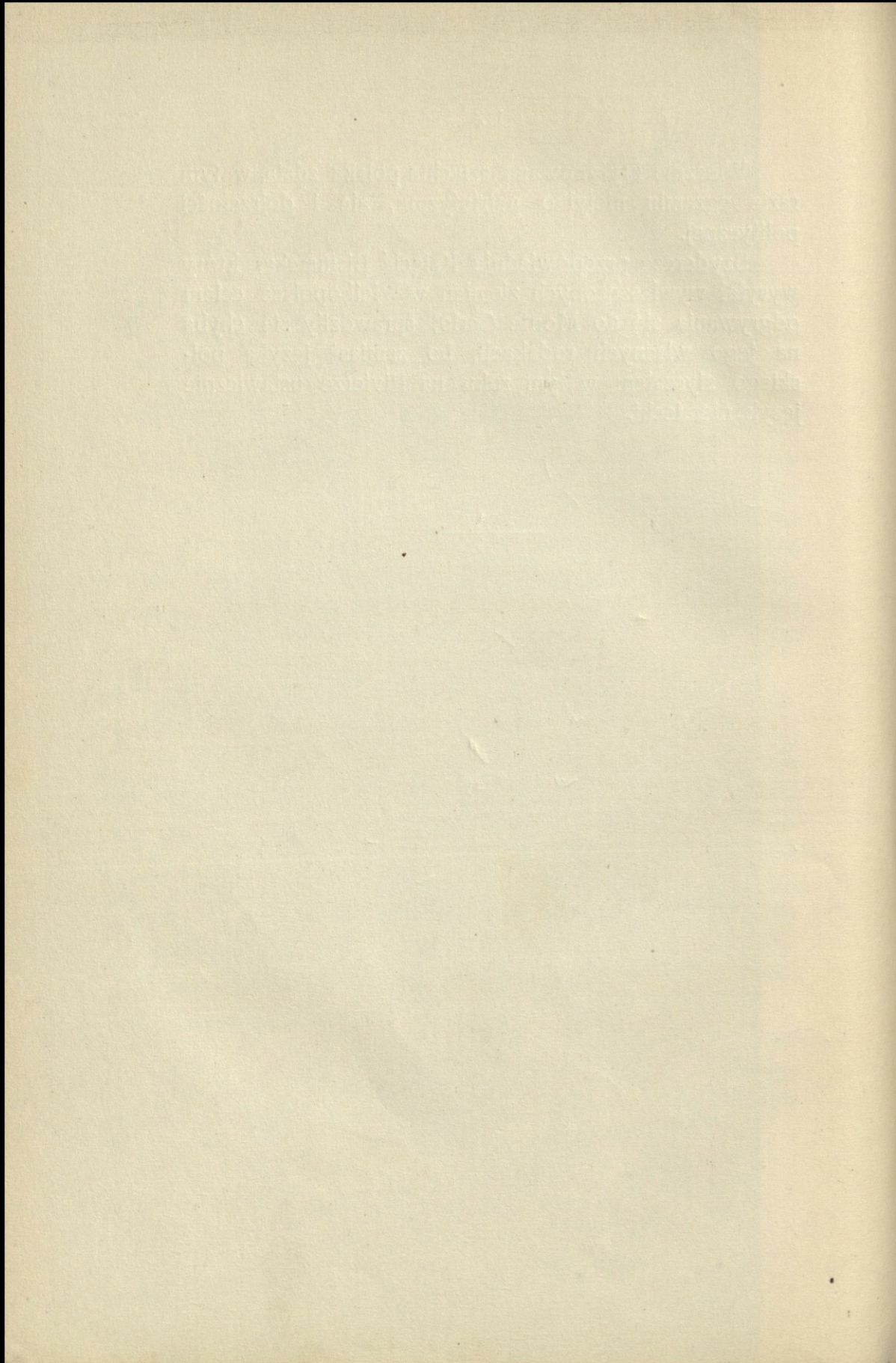
Główny kontyngent stanowił element naszej szlachty z zaboru rosyjskiego. Od czasu przegranej wojny z Japonją, zmienił się nieco system rządów w Rosji. Polacy wyszli z roli biernych spektatorów i w miarę możliwego dostępu do życia politycznego zaczęli się gorliwie zajmować utrzymaniem swej narodowej odrębności. Nasi ziemianie przestali wyjeżdżać na dłuższy czas zagranicę, to też w Nicei przerwał się przypływ Polaków, a czas zmniejszał corocznie stałą kolonję polską, która dziś jest już tylko wspomnieniem.

Z chwilą wypędzenia okupantów i uzyskania niepodległości, całe zastępy szlachty i inteligencji polskiej, przez pół wieku unikającej towarzyskiego zetknięcia się z Rosjanami, rozproszonej po całej Europie, drgnęły wspólną żądzą powrotu do kraju! Jedni dla niemożności otrzymania funduszów z kraju, większa zaś część nie chciała dłużej wydawać ani jednego grosza poza granicami Ojczyzny. Doczekawszy się nareszcie własnego Rządu, zrozumieli dokładnie, że odtąd politykowanie na własną rękę jest występkiem przeciwko Ojczyźnie.

Do jakiego stopnia opustoszała nasza liczna przed wojną kolonja polska zacytuję fakt, że podczas mego 2-miesięcznego pobytu na Litoralu nie słyszałem prawie mowy polskiej.

Wiecznie krytykowana szlachta polska zdała w tym razie egzamin nie tylko patriotyzmu, ale i dojrzałości politycznej.

Szydercze przepowiednie Księcia Bismarcka, który wysyłał wywłaszczonych ziemian w Wielkopolsce celem odgrywania się do Monte Carlo, sprawdziły się chyba na jego własnych rodakach, bo zamiast języka polskiego słyszałem w tym roku na Rivierze ustawicznie język niemiecki.



EMIGRACJA I WYCHODŹTWO OBECNE

EMIGRACJA I WYCHODŹSTWO GOSPODARSTWA

Byłbym niepokieszony, gdyby którykolwiek z moich łaskawych czytelników przypuścił na chwilę, że myśl moją wyteżam i redukuję do pewnej kategorii emigrantów, którzy się osiedlili w Nicei.

Moja książka o polskiej kolonii, która z chwilą odzyskania niepodległości przestała istnieć na Rivierze, jest tylko fragmentem z życia Polaków zagranicą. Opis tego com przeżył, widział i słyszał na Zachodzie o sprawie polskiej, może posłużyć jako skromny materiał dla przyszłego historyka o emigracji i wychodźstwie polskim.

Przy tak rozgałęzionem piśmiennictwie polskim, mamy prawo oczekiwać od naszych historyków wydawnictw ze specjalną oceną wszystkich naszych emigracji i wykazanie różnicy pomiędzy emigracją z okresu przed Wielką wojną, a obecnem wychodźstwem.

Chcąc się usprawiedliwić z przyczyn, jakie mnie skłoniły do zabrania głosu w tej kwestji, pomimo woli muszę dotknąć osobistej sprawy.

Od czasów mego dzieciństwa wzrastałem wśród przyjaciół ś. p. mego ojca, Napoleończyka z pod Somosierry, bohatera bitwy pod Iganiami w 1831 r. i z tego powodu obcowałem często z ludźmi, których synów albo wnuków za udział w dwóch powstaniach gnano

na Sybir, a część zdołała zbiedz zagranicę. Bolesć pozostałych rodzin i tęsknota za emigrantami ciągnęła się całe lata. Mogę śmiało stwierdzić, że ani nieszczęścia, spadłe z powodu dwóch stłumionych powstań, ani katastrofa sedańska nie zmniejszyły w tych domach ziemiańskich, o których przeważnie wspominam i z którymi obcowałem, wiary w przyszłe odrodzenie niepodległej Polski i nie wypłeniły zaufania, że prędzej czy później Francja spełni swą historyczną misję względem Polski.

Emigranci, osiedli we Francji, nie przestali utrzymywać stosunków z pozostałymi w Polsce rodzinami. Spotkania z nimi zagranicą podniecały nasz patriotyczny zapał i nieustannie przypominały krzywdy, jakie im wyrządził rząd rosyjski. Czuję się zobowiązany wobec naszej młodzieży uchylić nieco zasłonę z życia naszej emigracji.

Kto raz widział i słyszał Jeża (Miłkowskiego), snującego wspomnienia ze swych legendarnych przeżyć, nie zapomniał nigdy tego Rycerza bez skazy, który walczył przez pół wieku nie tylko za wolność swej Ojczyzny, ale i w obronie innych uciśnionych narodów.

Seweryna z Zochowskich 1-mo voto Pruszkowa za swą działalność podczas powstania miała być uwięziona i prawdopodobnie zesłana na Sybir, sprzedała rodzinie swe obszerne włości koło Żychlina i wyjechawszy zagranicę, osiedliła się w Paryżu, gdzie po śmierci pierwszego swego męża, poślubiła Duchyńskiego. W jej domu przez długi okres czasu gromadzili się przedstawiciele ówczesnej naszej paryskiej emigracji. Duchyńska przez kilkadziesiąt lat prozą i wierszem karmiła i piętnowała reakcjonistów rosyjskich. Na tem miejscu przypominę czytelnikom słynną odpowiedź, jaką nasza wielka patrijotka i cenna pisarka dała Katkowowi, który ją na-

zwał „psem, szczekającym nad Sekwaną“. Seweryna Duchieńska odpowiedziała wierszem, który obiegił prasę, że „żaden Trubadur tak się nie szczyił, gdy mu wieńczono skronie, jak ja się szczycę, kiedy wróg mej Ojczyzny zwie mnie psem“. Duchieńska jednocześnie oświadczyła znanemu polakożercy, że do końca życia będzie tym psem, który waruje u progu swej chaty, by do niej nie wpuścić złodzieja.

Mąż Duchieńskiej również emigrant, z powołania historyk, poświęcił całe swe życie przeszłości Słowiańszczyzny. Na mocy dokumentów, studjów i własnych przeżyć w Imperjum rosyjskiem, starał się przekonać świat naukowy, że tylko Ruś jest słowiańska, natomiast Wielkorusi w przeważnej części przybrali tylko nazwę i język słowiański.

Ówczesna Europa była tak zahypnotyzowana przez Carską potęgę, że nietylko przeciwnicy polskiej sprawy, ale nawet bezstronni historycy uważali tezę Duchieńskiego za przesadną.

Dziś dopiero przekonywamy się, że twierdzenia Duchieńskiego zawierają w sobie dużo prawdy co do Wielkorusów. Bolszewicy nietylko wyrugowali miano Rosji, ale karzą jako zdradę stanu wszelką myśl i działania na korzyść idei słowiańskiej.

Muszę jeszcze dorzucić do mych wspomnień, że pod opiekuńczemi skrzydłami Duchieńskiej, wyrosła na wielką artystkę-malarkę Bilińska, która za pierwszą swą pracę, auto-portret, odznaczona została pierwszą nagrodą „Grand-Prix“ na wystawie sztuk pięknych w Paryżu. Pamiętam z tej okazji przyjęcie w salonach Duchieńskiej, zakończone chóralnem odśpiewaniem „Boże coś Polskę“. Staje mi w oczach jeszcze jeden przykład wyjątkowego patriotyzmu.

Podczas mojej pierwszej bytności na Rivierze, a więc przeszło 50 lat temu, spacerując w okolicy nieco oddalonej od Cannes, w cudnym ustroniu, spostrzegłem na progu małego domu postać starca, jakby żywcem wziętego z albumu naszych powstańców. Zatrzymałem się chwilę; za ukłonem poszła rozmowa w języku włoskim i dowiedziałem się, że wewnątrz znajduje się izba fotograficzna i że staruszek po wykończeniu odnosi fotografie pod wskazanym adresem. W kilka dni później udałem się z dwoma towarzyszami w celu zdjęcia grupy fotograficznej.

Pół wieku ubiegło, a jeszcze pamiętam wzruszenie starca, skoro usłyszał język polski. Łzy były obfitsze niż słowa. Czystą polszczyzną z akcentem włoskim objaśnił nas, że 47 lat temu opuścił Ojczyznę. Wskutek silnej emocji nie mógł, czy nie chciał dłużej opowiadać o swej przeszłości. W kilka dni później odniósł każdemu z osobna ślicznie wykonaną grupę fotograficzną i drżącą ręką napisał po polsku: „Proszę o przyjęcie fotografii jako podarunku“.

Powróciwszy w roku następnym na Rivierę, zamiast ujrzeć znów starego fotografa, zastałem czekający na mnie w hotelu Chauvain nadesłany jego nekrolog w języku włoskim. Artykuł nosił tytuł „Żywot bohatera szlachcica polskiego“, z którego dowiedziałem się, że stary fotograf z Cannes był oficerem i że po wzięciu Warszawy w 1831 r. opuścił kraj, zmienił nazwisko, przybierając herbowe, jeżeli się nie mylę, Leszczyca, które później zwłoszczył. Tułał się długo po świecie, aż w końcu osiedlił się na granicy szwajcarsko-włoskiej. Mając talent do rysunku żył z tego zawodu, następnie założył atelier fotograficzne. Ożenił się z Włoszką i miał syna, rokującego wielkie nadzieje.

Skoro wybuchła wojna w 1859 roku wysłał swego jedynaka w celu walczenia za wolność Ojczyzny swej matki, a w kilka lat później rozkazał synowi zaciągnąć się pod sztandary Langiewicza. Nikt nie mógł się wstrzymać od łez, czytając opis, jak ten Ojciec, wysyłając swe dziecko na tę niebezpieczną wyprawę, przez kilka miesięcy od rana do nocy uczył syna polskiego języka, ażeby, broń Boże, nie stanął w szeregach powstańców jako cudzoziemiec. Młodzieniec przerwał się przez granicę austriacką i mimo wygasającego powstania, wziął udział w kilku bojach. Wprawdzie nie był ranny, ale w Polsce nabawił się piersiowej choroby i po powrocie do rodziców w dwa lata później umarł na suchoty. Matka po stracie jedynaka z rozpaczyny wkrótce poszła za synem do grobu.

Wówczas wyszła na jaw nieugiętość charakteru szlachcica polskiego. Nieszczęścia, które spadły na niego, nie zdołały złamać starego weterana. Zwinął dom i postanowił rozpocząć nowe życie. W zamiarze służenia Ojczyźnie powziął myśl wydania pracy dotąd nieznaney: Spis i opis grobów polskich bohaterów, rozrzuconych po całym świecie. Rozpoczął od Wagram, Jeny, Lipska, a potem podążył na pola bitew w Hiszpanji i w rymach włoskich i francuskich opisał wzięcie Somosierry.

Mimo podeszłych lat nakreślił sobie wielki program; wybierał się do San Domingo, a potem marzył pod flagą włoską pojechać na Syberję, odnajdywać groby zesłańców polskich i wydać wielką monografię pod tytułem: „Bohaterstwo szlachty polskiej w obronie Ojczyzny“.

Wolę miał nieugiętą, ale siły fizyczne zaczęły go opuszczać; zapadł w Hiszpanji na malarję i kilka lat ciężko chorował.

W końcu życia ściągnął w okolice Cannes, gdzie jako przygodny fotograf, pod przybranem nazwiskiem ducha wyzionął. Spalił przed śmiercią swe pamiętniki, a kilkadziesiąt tysięcy franków, uciulanych ciężką pracą, polecił swemu przyjacielowi Włochowi, o ile pamiętam autorowi nekrologu, złożyć na pomoc dla więźniów politycznych: Włochów i Polaków.

Ówczesna prasa włoska na Rivierze pisała obszernie o tym wyjątkowym bohaterze i cytowała jako jeden dowód więcej włosko-polskiego braterstwa. Po wielu latach Generał Türr w swoich artykułach i odezwach o kolegach z różnych rewolucji, wspominał o tym anonimowym polskim bohaterze, o starym fotografie z Cannes.

Trzeba było doczekać tak wielkiej wojny, jaką przeżyliśmy, ażeby wśród Wielkiej Koalicji zaświtała myśl uczczenia mogiły „nieznanego żołnierza“, podczas gdy my, Polacy, od wieków posiadamy setki cmentarzy, rozrzuconych po całym świecie, na których spoczywają nasi „nieznani bohaterowie“.

Mógłbym długo snuć opowieść o patriotyzmie szlachty i mieszczaństwa polskiego w zeszłym stuleciu. Ludzie z owych czasów poświęcali rodzinę, mienie, wzamian nie szukając zaszczytów, ani odznaczeń; jak się czytelnicy przekonali, lubowali się nawet w utrzymaniu tajemnicy o swych zasługach.

Nic też dziwnego, że wśród moich rówieśników miano i postać emigranta otoczona była aureolą męczeństwa za sprawę narodową.

Ale czy mogło nam kiedy przejść przez myśl, a jeszcze więcej tym, którzy emigrowali i tułali się po całym świecie przez wiek ubiegły, że po wyzwoleniu Polski zabraknie chleba i pracy dla swoich i że będą u nas tworzyć nową emigrację: wysyłać młode i zdolne

siły do pracy na obczyznę, a wzamian na ich miejsce, ujrzymy napływ obcoplemieńczych szumowin ze Wschodu.

I to się dzieje nie za szlacheckich rządów, które przez cały wiek ubiegły były surowo krytykowane przez sfery demokratyczne, jako przyczyna polskiej emigracji.

Doprawdy trudno zrozumieć, że nasi niepodległościowcy, niepomni na własne cierpienia przeżyte zagranicą, przypatrują się obojętnie powrotowi historycznie najsmutniejszej naszej ery emigracyjnej?

Po odzyskaniu niepodległości wyjazd zagranicę za pracę był wytłumaczony chaosem, nieodłącznym od przewrotów politycznych w całej środkowej Europie, ale dziś, po 9 latach utrwalenia się naszej państwowości, masowe opuszczanie kraju podrywa zaufanie wewnątrz, a zewnątrz zmniejsza wiarę w potęgę Polski.

Polska daleka jest od przeludnienia, zwłaszcza nasze Wschodnie dzielnice przedstawiają szerokie pole działalności dla polsko-zachodniej kultury i dla wielkich materialnych zarobków dla kilku pokoleń.

Łanami urodzajnej ziemi, w zagłębiach której posiadamy nieprzebrane ilości minerałów i metali, wielkimi przestrzeniami lasów, naszym węglem, przewyższamy wiele bogatych krajów, ale nie szczyćmy się wywozem, a starajmy się zużywać go wewnątrz, celem dania pracy rodakom w krajowych warsztatach fabrycznych. To też możemy śmiało twierdzić, że Polska ma wszystkie dane do rozkwitu i do powrotu do swej historycznej przeszłości.

Dla skupienia sił w tym wielkim dziele musimy przede wszystkim starać się o dostarczenie pracy dla wszystkich, celem zapobieżenia odpływowi zagranicę obywateli państwa polskiego. Żeby Rząd mógł skutecznie przeciwdziałać emigracji musi znaleźć pomoc

we wszystkich sferach, zacząwszy od luminarzy, działaczy społecznych i politycznych w całej prasie bez różnicy przekonań, a przede wszystkim pomoc naszej młodzieży.

Musi wejść w krew naszą przeświadczenie, że o ile era emigracyjna podczas naszej niewoli była zaliczana do bohaterskich czynów, o tyle dziś dobrowolne opuszczanie kraju wyrządza nam krzywdę. Obecnie, za wyjątkiem udających się za granicę w celu zdobycia wiedzy, celem zużytkowania i zastosowania jej u nas, szukających ulgi dla zdrowia w ciepłych klimatach, w końcu ludzi, przebywających za granicą na usługach Rządu, wszyscy inni, opuszczający kraj, popełniają dezercję wobec cudownie wskrzeszonej naszej Ojczyzny. Nie uwalnia nas to jednak od świętych obowiązków względem dużej części narodu, która znajduje się poza granicami Państwa polskiego.

Chwalebne wysiłki naszego duchowieństwa, Tow. Opieki im. Mickiewicza, urzędowych działaczy i konsulatów polskich, celem ulżenia doli naszych emigrantów, wzbudzają podziw nawet wśród cudzoziemców.

Ale kraj nasz, w ogóle biorąc, nie jest dostatecznie uświadomiony o ogólnym stanie milionów Polaków poza granicami naszego Państwa. W celu zapobieżenia tej luce politycznej na początku ubiegłego roku rzucono myśl urządzenia w stolicy zjazdu delegatów, reprezentujących wszystkie osiedla polskie poza granicami Państwa polskiego.

Projekt naszych braci amerykańskich wzbudził wielkie zainteresowanie w Warszawie. Zrobiono przybliżone obliczenie naszych rodaków poza krajem, rachunek przeszedł wszelkie oczekiwania; obrano dzień 3 Maja na wykonanie tego wspaniałego projektu.

Nie wchodzę i nie pragnę dociekać przyczyn opóźnienia; w tym wypadku wierzę bezgranicznie w dobrą wolę i chęć wszystkich Polaków i że tylko brak odpowiedniego czasu był przyczyną tej rezolucji.

Historja naszego wychodźstwa do Ameryki, zapoczątkowana współudziałem Kościuszki i Pułaskiego w walce o wyzwolenie, przybrała wielkie rozmiary w okresie drugiej połowy zeszłego stulecia, a głównie od czasu, kiedy w Rosji i w Prusach zaczął się kurs prześladowania wszystkiego co polskie.

Przyjazne usposobienie rządu amerykańskiego i korzystne warunki dla przybywającej emigracji polskiej sprawiły, że nasi rodacy wzamian stali się wiernymi obywatelami Stanów Zjednoczonych, a pracą i uczciwym postępowaniem wybili się na jedno z pierwszych miejsc w konglomeracie różnych narodów. Dziś stanowią liczbę około 4 milionów obywateli amerykańskich.

Podczas sromotnych podziałów naszej Ojczyzny mnóstwo Polaków mieszkało na rubieżach obszernego wówczas państwa. Mimo przeszło stuletniego prześladowania elementu polskiego tak na Zachodzie jak i na Wschodzie do dziś dnia dużo wnuków i prawnuków nie opuściło tych placówek.

Osiedla polskie w Prusach, w Rosji, na Łotwie i Litwie, obliczając jaknajogólniej, dochodzą do cyfry 2 milionów.

Epopea Napoleońska spoiła nas nas na wieki z Francją, dowodem tego, że po naszych narodowych klęskach r. 1831 i r. 1863 heroiczne drużyny polskie ciągnęły wyłącznie do Francji, gdzie byli przyjmowani jak swoi.

Po wielkiej wojnie odbudowująca się Polska znalazła się w trudnych warunkach, gdyż z początku Rosjanie, a następnie Niemcy porozbierali fabryki i wywieźli

maszyny, powstał z tego powodu nadmiar rąk do pracy. Nasi bezrobotni samorzutnie zaczęli wędrować do naszej wielkiej sojuszniczki. To też obecna, wraz z dawną emigracją we Francji, przewyższa cyfrę 600,000.

W ostatnich czasach, wskutek ograniczeń emigracji w Stanach Zjednoczonych, setki tysięcy Polaków wyjechało do południowej Ameryki. Jeżeli do tego obliczenia dodamy naszych rodaków we wszystkich innych krajach, dochodzimy do ogromnej liczby, przewyższającej 7 milionów Polaków, znajdujących się poza naszymi granicami. Jest to cyfra określająca nieraz całość średniego narodu, cyfra, nad którą każdy Polak powinien się głęboko zastanowić.

Narody czerpią swą główną siłę w solidarności. Żydzi są klasycznym tego dowodem. Bundy i Vereiny niemieckie reprezentują po całym świecie idee germanizmu. Anglicy ufundowali państwo, w którym słońce nie zachodzi i mimo olbrzymich oddaleń i tysiąca przeszkód dają światu przykład co może zdziałać zbiorowa solidarność.

Z narodów, które wskutek przemocy sąsiadów, burz wojennych i przewrotów politycznych utracili swą niepodległość te tylko nie giną i nie karłowacieją, które stoją niezmiennie przy religji swych przodków, zachowują swą mowę ojczystą i w zagadnieniach podstawowych idą wszyscy solidarnie razem.

Czy zachodzą trudności dla urzeczywistnienia projektu naszych braci z za Oceanu i zwołania ogólnego Zjazdu polskiego z udziałem delegatów osiedli polskich, rozrzuconych po całym świecie?

W tym razie można twierdzić, że narody na podobieństwo rodzin tęsknią po długiej rozłące za swoimi i że te uczucia wezmą u nas górę nad partyj-

nemi i klasowemi przeszkodami i że wspaniały projekt naszych braci z za oceanu przyjdzie do skutku.

W Polsce mimo sporów wewnętrznych ten projekt łatwiejszy do przeprowadzenia, niż w innych krajach. Widzimy, że nasi robotnicy są dumni ze swego N., a socjaliści polscy nie rozstają się ze swem P.

Chłopi nasi zbudzili się z wiekowej drzemki; młoda generacja włoścjan szybko się uświadomiła i pojęła, że jako najliczniejsza warstwa musi przejąć we właściwej mierze odpowiedzialność za przyszłe losy kraju. To też śmiało twierdzą, że wszystkie partje polskie muszą dążyć do jednego celu: do stworzenia silnego państwa, aby broń Boże nie uległ przemocy zaborców i stać się, jak to było, obywatelami drugiej klasy, a nawet niewolnikami. Mielśmy dowód tych zakusów zaraz po naszym Odrodzeniu, podczas odsieczy Warszawy w 1920 r.

Ale, żeby Zjazd ogólny polski mógł przynieść pożytek nietylko naszym wychodźcom i emigrantom, ale wogóle nam wszystkim, potrzeba przedewszystkiem unikać na nim wszelkich zgrzytów.

Zjazd musi się rozpocząć od złożenia wyrazów wdzięczności wielkiemu narodowi amerykańskiemu za dobrodziejstwa dotąd udzielane naszym wychodźcom i złożenia hołdu Wilsonowi, który sprawę polską postawił, jako światowy warunek europejskiego pokoju.

Wzamian ze stolicy powinni nasi bracia z za Oceanu zawieźć amerykańskim Komitetom pomocy z okresu wojennego, ludziom tej miary, jak Hoover, którzy uratowali tysiące naszej młodzieży od głodu, zapewnienia wiecznej wdzięczności narodu polskiego.

Na Zjazd ogólnopolski napewno przybędą wnukowie i prawnukowie pierwszych polskich emigrantów, którzy obrali Francję za swą Ojczyznę. Ci delegaci szcze-

gółowo zobrazują stosunki dwóch narodów, które przed stu kilkudziesięciu laty łączył jeden sztandar w walkach z wrogiem.

Wjeżdżając do stolicy swych przodków pobudzą nas do wyrażenia wdzięczności Francji za okazaną gościnność ich praojcom, ze swej strony powinni uważać za święty obowiązek rozwiania na Zachodzie fałszywych legend.

Mimo wspaniałej historii i wielkich usług oddanych kulturze i cywilizacji, Francuzi ulegają tendencyjnym i złośliwym krytykom, nie tylko w środkowej Europie, ale zwłaszcza na Wschodzie. Nieraz czytamy w prasie obcej zarzuty z powodu wielkiej fiskalności Francuzów. Polacy francuscy, jako bezstronni, będą mieli obszerne pole do odparcia i wyjaśnienia, że tylko dzięki nadzwyczajnej oszczędności całego narodu Francja wyszła zwycięsko z trudności finansowych po trzech wrogich najazdach na swe granice.

Obecnie, po olbrzymich stratach pieniężnych wskutek wojny, przy pomocy genialnego Ministra, ten naród „skąpy“, jak uszczypliwie nazywają Francuzów, zdumiewa świat swoim finansowem odrodzeniem. Nikt lepiej nie wytłomaczy zarzutu o eksluzywizm Francuzów względem cudzoziemców, skoro nasi delegaci przypomną epokę emigracji po rozbiorach naszej Ojczyzny. Polacy, opuszczeni przez wszystkie narody, w jednej tylko Francji byli przyjęci i uważani za „swoich“.

Francuzi, w przeciwieństwie do wielu innych narodów nie umieją, czy też raczej nie chcą, prowadzić propagandy na swoją korzyść; w zasadzie jest to rzecz chwalebna, ale w skutkach szkodliwa; niech w tym wy-

padku na Zjeździe w Warszawie zastąpią Francuzów Polacy, wierni obywatele Rzeczypospolitej Francuskiej.

Polska jest dziś faktycznie nie tylko osią polityczną środkowej Europy, ale również punktem centralnym, w którym się zbiegają Wschodnio-Zachodnie poglądy.

Jak wiadomo, znajduje się jeszcze po dziś dzień mnóstwo naszych rodaków, rozproszonych aż poza Dniepr. W tym wypadku odegrają rolę „porte-parole” wzniosłych mów naszych emigrantów, wygłoszonych na cześć Francji na Zjeździe warszawskim.

Przyjazd do Polski wnuków i prawnuków naszych pierwszych emigrantów, osiadłych we Francji przypomni nam obowiązek złożenia hołdu ich przodkom, którzy, historycznie biorąc, byli twórcami dzisiejszego przymierza francusko-polskiego.

Pisząc wspomnienia z dalekiej przeszłości pragnę powtórzyć naszej młodzieży, której poświęcam swą pracę, słowa, które w dzieciństwie mojem słyszałem (jeszcze przed wybuchem powstania) z ust ś. p. mego ojca i jego czcigodnych kolegów Napoleończyków, wymienię nawet kilka nazwisk: Madaliński, Rozumowski, Miecznikowski i wielu innych, którzy po śmierci mego ojca bezustannie powtarzali, że „biegli oni pod skrzydła orłów Napoleona nie tylko z myślą wskrzeszenia Ojczyzny, ale również w celu zmycia hańby podziałów”. Idea była jeszcze wyższa nad ich bohaterstwo.

Nasi pisarze i historycy dla pobudzenia odrętwiałego społeczeństwa powinni bezustannie przypominać naszej młodzieży epokę upadku i wślad za nim o wspaniałym odrodzeniu i że epopea Napoleońska była pobudką do tego Zmartwychwstania.

Bunt dusz, który przeniknął naszą porozbiorową młodzież w celu zmycia swą krwią winy przodków

i słabego duchem króla, pchnął junaków polskich pod sztandary Wielkiego Cesarza i dał możność odzyskania naszej waleczności. Jena i Wagram obaliły słupy graniczne umieszczone przez traktaty rozbiorowe. Mimo późniejszych klęsk i powrotu niewoli nieśmiertelne hufce polskie z epopei Napoleońskiej zostawiły w spuściźnie następnym generacjom wiarę, że „Polska nie zginęła“, a niemniej wieczną przyjaźń Francji.

Wracając do przewodniej myśli muszę dodać, że gdyby z powodów i przeszkód nieprzewidzianych delegacji z niektórych państw, gdzie się znajdują osiedla polskie, nie mogli przybyć na Zjazd, już samo pojawienie się naszych Braci z Ameryki i Francji będzie miało wielkie i doniosłe znaczenie. Żeby jednak Zjazd mógł przyjść do skutku i odbyć się z pożytkiem tak dla naszych emigrantów, jak i dla nas, musi być bardzo troskliwie przygotowany przez zdolnych i wytrawnych ludzi, tak ze strony przybywających delegatów, jak również i miejscowych organizatorów. Przedewszystkiem Zjazd musi unikać wszelkiego rodzaju partyjności i poruszania spraw wewnętrznych tak naszych, jak i państw, z których przybędą delegaci. To nie przeszkodzi, że wybrańcy naszych emigrantów przekonają się osobiście o stanie duchowym całego narodu, o pokojowym usposobieniu wszystkich obywateli i o pragnieniu uniknięcia konfliktów z naszymi sąsiadami, a zwłaszcza konfliktów zbrojnych, pod jednym warunkiem: utrzymania status quo obecnych granic Polski.

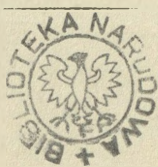
Ponieważ sprawy ekonomiczne zajęły dziś w stosunkach międzynarodowych miejsce dawniejszych bezustannych tarć politycznych, złączenie terminu Zjazdu z okresem trwania powszechnej wystawy w Wielkopolsce przyczyniłoby się do zapoznania delegatów z obecnym stanem ekonomicznym i finansowym Polski.

Na Zjeździe usłyszą również delegaci, że Polacy w swej misji dziejowej mają powierzoną sobie przez Opatrzność pieczę nad narodowościami innych wyznań i odmiennych kultur i że nigdy nie popełnią błędów Caratu i hakaty pruskiej. Znana powszechnie szlachetność polska pozwoli nam wypełnić to włożone na nas historyczne zadanie.

To też na Zjazd, jaki proponują nasi bracia z za Oceanu, mogą, a nawet powinni przybyć dzieci i wnuki tych wszystkich emigrantów i wychodźców, którzy niegdyś zamieszkiwali w Polsce i którzy nadal pragną utrzymać z nami związek duchowy.

Nie wchodząc w dyskusję z wymogami partyjnemi i politycznemi, taka moralna spójnia w celu zwiększenia prestiżu Polski na zewnątrz wykazałaby światu rzeczywistą siłę idei polskiej i stworzyłaby w środkowej Europie pokojową ligę polską, pomocną dla światowej Genewskiej Instytucji.

Warszawa, Marzec 1928 r.



Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

32751/2



12-032751-000-0